



Rok VI
Łódź, 24. XI. 63.
Nr 47 (299)
Cena - 1 zł.

odgłosy

HALINA BATOROWICZ

ICH „SIÓDMY CUD ŚWIATA”

Kijów, Moskwa — jesień 1963

Karola powiedziała, że będzie na nas czekać na Kreszczatiku, pod pomnikiem Lenina, o ósmej wieczorem. Przypomniała jeszcze, w którym miejscu należy wysiąść z trolejbusu i pobięła na wykłady do Instytutu.

Było parę minut po dwunastej. Słońce przyszło jak w pełni lata — chociaż kalendarz wskazywał późną jesień. Szedliśmy kolorowym bulwarem, dziewczęta kupowały rodzynki i winogrona, chłopcy oglądali się za młodymi mieszkankami Kijowa. Radzieckie dziewczęta w kolorowych sweterkach i zgrabnych szpilkach zbiegały trzymając się pod ręce po kamiennych schodkach. Potem płynęły kutrem na drugą stronę Dniepru, na białą plażę.

Zeszliśmy na brzeg rzeki, usiedliśmy na przystani. Patrzyliśmy na rzekę, na cerkwie w słońcu. Nikt nic nie mówił, nikt nie patrzył na zegarek. Spóźniliśmy się na obiad. A wieczorem...

— Dobry wieczór, Karola, nie gniewaj się. Trolejbusy takie przepelnione — kłamałiśmy jak z nut, bo było właśnie dwadzieścia minut po ósmej.

— O, nic nie szkodzi — uśmiechnęła się Karola, przyszedł przed chwilą. Kiedy umawiam się z Polakami zawsze przychodzę kilkanaście minut później. I zawsze jestem pierwszą...



John Steinbeck w Polsce

Program podróży znakomitego pisarza amerykańskiego (laureata nagrody Nobla 1962) po Polsce przewiduje również krótki pobyt w Łodzi. „Polityka” wydrukowała wywiad z Steinbeckiem udzielony korespondentowi tego pisma przed wyjazdem pisarza z Moskwy do Warszawy. Oto charakterystyczna wypowiedź Steinbecka dotycząca własnej twórczości i kraju, który opuszcza:

„...Nie wracam nigdy do swoich napisanych książek, nie przeglądam, nie wspominam. Nie umiem też odpowiedzieć na pytanie w rodzaju „w czym widzi pan sens swojej twórczości?”. Wszystko to pozostawiam krytykom. Nie jestem też w stanie odpowiedzieć wyczerpująco na pytania oczekujące porównań między moim krajem a ZSRR. Nie tylko dlatego, że zbyt mało jeszcze znam Związek Radziecki, lecz również dlatego, że nie znam wielu problemów amerykańskich. Ogólnie — jeśli się przyjrzeć temu, co dzieje Amerykanów i Rosjan, i temu, co ich łączy, można dojść do wniosku, że więcej łączy. Odbyłem interesującą podróż po ZSRR, znalazłem potwierdzenie tego, o czym mi opowiadano, co czytałem o tym kraju, o jego rozwoju, o postępach, rozbudowie. Podobają mi się ludzie, ich postawa, poczucie własnej godności...”

Witamy Johna Steinbecka serdecznie.

W siedliśmy do autobusu samoobsługowego i nieprzepelnionego. Miejska komunikacja w Kijowie: trolejbusy i autobusy podjeżdżające nieprzerwanym potokiem na przystanki, uprzejmi kierowcy informujący przez specjalne głośniki przy jakiej ulicy autobus się zatrzyma, gościnni kijowianie gotowi w każdej chwili odstąpić miejsce siedzące gościowi z zagranicy; wszystko to nas, łodzian przyzwyczajonych do pokornego wyczekiwania na Piotrkowskiej z ciągłą nadzieją, że „ten autobus „57” zatrzyma się wreszcie na przystanku” — wprawiało w niemały zachwyt.

Karola — filigranowa, kruczowłosa studentka biologii, aktywistka Miejskiego Komitetu „Kom-

Dalszy ciąg na str. 9

JULIAN BRYSZ

NOWE MIESZKANIA - NOWE POSTAWY

Nowe osiedle mieszkaniowe. Komfort, spokój, dużo zieleni. Czy również — nowi ludzie? Czym różnią się oni — jako zbiorowość — od mieszkańców starych dzielnic?

Takie pytania postawił sobie dr Wacław Piotrowski, specjalista w dziedzinie socjologii wielkiego miasta. Odpowiedzi szukał w badaniach ankietowych. Objęto nimi 200 osób z pewnego rejonu śródmieścia Łodzi i tyleż z Osiedla im. Władcy Bytomskiej*).

Zasadnicze różnice stwierdzono, porównując wiek oraz wykształcenie mieszkańców. W śródmieściu dominuje kategoria wieku 40—59 lat i wykształcenie podstawowe, w osiedlu zaś 25—39 lat i wykształcenie średnie lub wyższe.

Można przypuszczać, że następstwem tych ogólnych i niejako „obiektywnych” różnic, jest wiele cech szczególnych, jakimi charakteryzują się lokatorzy osiedla.

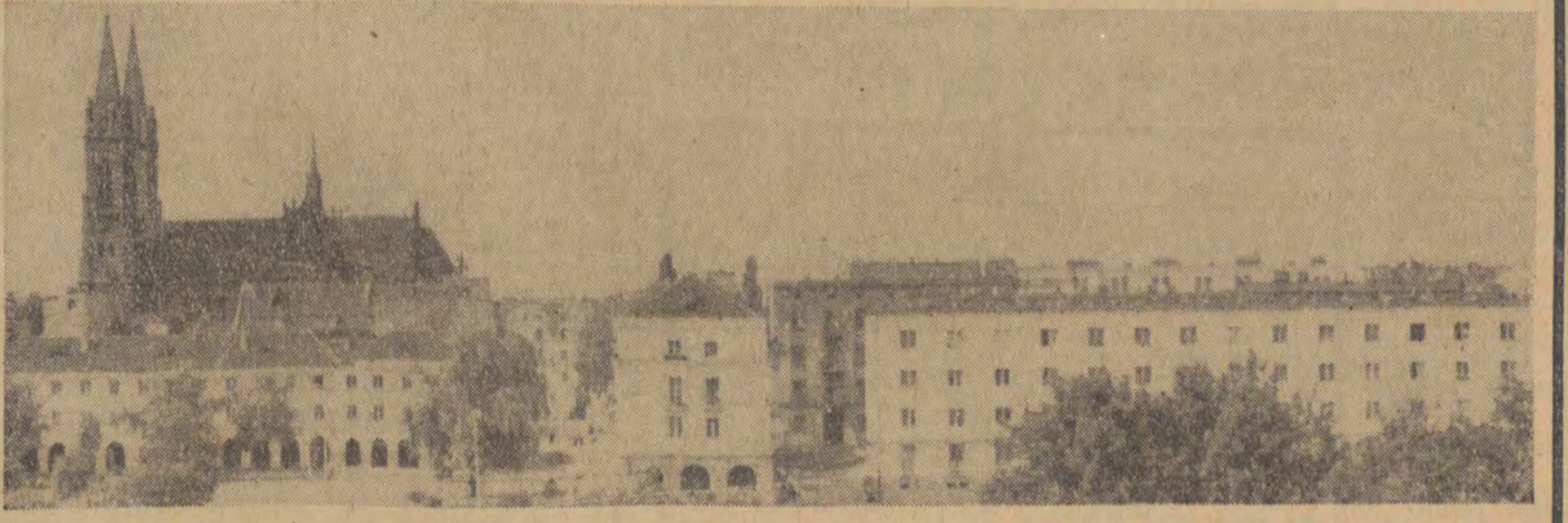
Dziś jeszcze są oni w Łodzi mniejszością. Ale ilość nowych bloków i dzielnic szybko się pomnaża. Za kilka lat właśnie ich mieszkańcy stanowią będą o obliczu miasta.

I dlatego przede wszystkim warto przyjrzeć się „laboratoryjnej” społeczności z ulicy Spornej i przyległych.

Pierwsza z rzucających się w oczy cech tej grupy ludzi jest zadowolenie z otrzymanego mieszkania. Aprobata wyraża 100 procent pracowników fizycznych, zaś umysłowi — w niewiele mniejszym stopniu. Sprawa tylko na pozór wydaje się oczywista. Wspomnijmy bowiem, że jeszcze do niedawna rozpowszechniano twierdzenia, jakoby mieszkania w blokach były niewygodne — ciasne, nieustawne, itp. Warto więc odnotować tę istotną zmianę w zapatrywaniach.

Więć sąsiedzka jest tu słabsza, a wzajemne usługi lokatorów znacznie rzadsze, niż w starych dzielnicach. Natomiast — zadowolenie z otoczenia sąsiedzkiego o wiele większe. Przypominam sobie, że kiedyś z ciekawości dziennikarskiej chciałem sprawdzić, czy znaję w tym osiedlu rodzinę pijacką. Nie znalazłem. „Tacy nie mieli tu wstępu” — wyjaśnił mi później jeden z działaczy terenowych. Dziś reporterskie spostrzeżenia znajdują potwierdzenie w wynikach badań. Można by sformułować taki wniosek: Znajdą się krótko, jeszcze się nie zbliżyli, więc pozostają wobec siebie z rezerwą, ale równocześnie z szacunkiem i zaufaniem. Jakby mówili: „Przecież wiemy, że nikt z

Dalszy ciąg na str. 5



JAN BABIŃSKI

Jeden dzień z prokuratorem

Jakaż budowla okazała, ileż w niej majestatu i powagi. Gdzie spojrzysz — kolumny, marmury, podjazd jak przed siedzibą lorda. Gmaszysko pyszne z zewnątrz, mroczne i ponure w swym wnętrzu. Łodowało zimne korytarze, w których krok każdy dudni o kamienną posadzkę. Samym wyglądem ten pałac monstrualny miał budzić lęk przed władzą. Tu mieszkał nie byle kto, z tego miejsca rzucał w świat „przykazy” gubernator piotrkowski, ręka carska lewa i prawa. A także knut carski. I chociaż dawno już wywiał stad gubernatora i czynowników, to przecież pałac stoi jak stał, nie roniąc niczego ze splendoru dawnego. Wchodzisz do środka i od razu coś chwytą cię za gardło. Tu żartów nie ma, tu rozstrzygają się ludzkie losy.

Uwaga, sąd idzie, a sąd to miejsce, w którym poznaje się życie.

Z jednej strony stał pałac, po drugiej stronie, nieco na uboczu, stała ciurma.

Dziś nie żandarmi z aresztantem pośrodku siedzą na ławach pod ścianą. Kobięciny siedzą, babuleńki jakieś z okiem zawieszonym na kłameczkę. Czekają. Bo gdy kłameczka drgnie, wyjdzie młoda sekretarka i zapyta — „Kto następny?”

— Właśnie zapytała i w drzwiach gabinetu zniknęła ta pierwsza kobiecina.

Mówi szeptem, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Jest zdenerwowana:

— ...skąd on bierze na te hulanki? Nie pracuje, a ma. Ja nie chcę powiedzieć, że on macza paluchy w brudnych interesach... Ale skąd on bierze na to wszystko? Gdyby mu tu dać wygawor, jak należy, to by wcale nie zaszkodziło. Bo on nie jest taki znowu zły, ten mój mąż, tylko ktoś musi mu przemówić do rozumu, bo on jeszcze czegoś się doczeka...

„Kto następny?” Jakaś gospodyni z — koszykiem w ręku.

Przyszła bo nie chce ginać od siekiery. To strach o życie ją tu przywiódł. Mąż ciągle wlecząc ją za włosy i kopie gdzie popadnie...

Znowu kobieta, przyjechała aż z Kielczówka. Szloch. Mąż ją porzucił ma 4 dzieciaków na utrzymaniu. Taki dobry człowiek, robotny i nagłe coś strzeżilo mu do głowy, gdzieś zapodział się bez śladu. Już pół roku nie ma o nim wieści. Gospodarka potrzebuje męskiej ręki, a jego nie ma. Kobieta dostaje spazmów. „Lu dzie miejcie litość nade mną, panie kochany, czy nie ma jakiej siły, żeby odszukać mojego męża?”

Prokurator notuje, nasłuchal się już tyle w te wtorki popołudniowe, że notuje jakby machinalnie...

— Gdzie pani zakopala zwłoki męża, no gdzie? Niewiasta zatrzepotała rzesami czarnymi. Blysk zgasił w jej oczach, usiadła na podsunietym jej krześle.

— To pan już wszystko wie? — wyjąkała.

Po tem uzupełniła głosem równie cichym co wyraźnym: — Zakopałam go pod grobem.

Prokurator słucha, robi notatki... Cóż to był za piękny dzień. Ekshumacja zwłok przy pełnym blasku, przy dźwiękach dzwonów, które nadiatywały, z któregoś tam kościoła, nie wiadomo z którego, tyle przecież świątyn w Piotrkowie, na każdej ulicy jeden kościół albo dwa. I ten wstrząśnięty tłum, wpatrzony w jamę, od której szedł dojmujący odór. Wpatrzony też w kobietę, która wmawiała wszystkim przez dwa lata, że jej małżonek pojechał najwi-

Nic już prokuratora nie dziwi, nawet gdy przychodzi dziewczynka i powiada, że widziała krew na ścianie. To było wieczorem, ona pamięta. Mama kazala jej zaraz wynieść się na telewizję do sąsiadów, ale jej braciśzek też widział te plamy na ścianie. Więć najpierw wymknęło się Elżuni o ścianie i plamach przy zabawie z koleżankami. A koleżanki powiedziały o tym rodzicom, dlatego Elżunia tu przyszła, bo rodzice koleżanek kazali jej żeby sobie wszystko przypomniała. Prokurator wysłuchał słów dziewczynki i z miejsca posłał po jej mamę. Przed nim stanęła zykowna kobieta z błyskiem rozbawienia w podczernionych oczach. O co chodzi? Czy nie pomyłono nazwisk?

Zagrał va banque, nie mógł inaczej w tej sytuacji. Uderzył w kobietę jednym tylko, osiрым pytaniem:

Dokończenie na str. 6

Jarosław IWASZKIEWICZ w ŁODZI

Były to bardzo pracowite dni w bardzo pracowitym życiu Jarosława Iwaszkiewicza. Prezes Związku Literatów Polskich i członek władz kilku europejskich towarzystw, jednoczących pisarzy i ludzi sztuki, naczelny redaktor „Twórczości” i juror najważniejszych europejskich nagród za działalność społeczną i dokonania artystyczne, przyjechał do Łodzi tylko na dwa dni. Ale były to dni wypełnione po brzegi. Jarosław Iwaszkiewicz spotkał się ze swoimi czytelnikami w Łódzkim Domu Kultury, ze studentami w Klubie przy ul. Piotrkowskiej, z pisarzami, przedstawicielami świata artystycznego i naukowcami w lokalu Związku Literatów Polskich

w czasie tradycyjnej już gawędy intelektualnej. A poza tym czekały go jeszcze obowiązki związkowe. Wielki pisarz wszędzie przyjmowany był tak samo: z atencją i wielką serdecznością. I wszędzie mowa była o wszystkim. Przede wszystkim, oczywiście, o literaturze. Ale nie tylko o literaturze, bo Iwaszkiewicz jest nie tylko autorem „Sławy i chwały”, „Matki Joanny od Aniołów”, „Wesela pana Balzaca” i jednym z najwybitniejszych poetów polskich. Jest obywatelem świata, niezwykłym i niezastąpionym ambasadorem literatury i sztuki polskiej za granicą. Mówiliśmy więc z nim o literaturze i o wielkich tego świata. O losach książki polskiej za gra-

nicą. Ale i o losach polskiej muzyki i polskich kompozytorów. O podróżach na Wschód i na Zachód. O Mroźku i Morawii. Po ciachu zastanawiając się, kiedy Ten Człowiek, wdrujący bezustannie po świecie, tak obciążony i tak chętnie dźwi gający swe piękne ciężary, znajduje czas, aby pisać. A przecież znajduje i pisze. I to ile pisze! I jak pisze! Dwie książki, z których każda stanowi i będzie stanowić o obrazie literatury polskiej ostatnich lat, są na to dowodem. Trzytomowa, obszerna „Sława i chwała”. I znacznie cieńsza, a przecież tyleż co „Sława i chwała” (jeśli nie więcej) ważąca, książka ostatnich wierszy: „Jutro żniwa”. J. M. R.

EWA SULIBORSKA

Łodzianie
1963



HANNA
MAŁKOWSKA

Hanna Małkowska, córka popularnego na początku naszego wieku komediopisarza, Stanisława Kozłowskiego, wnuczka świętego krytyka teatralnego Władysława Bogusławskiego, autora książki „Srodki i sily naszej sceny”, pra-pra-wnuczka Wojciecha Bogusławskiego, od czasów powojennych związana jest z Łodzią i tu od osmiu lat jest dziekanem Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej.

„Z teatrem stykałam się od wczesnego dzieciństwa zarówno poprzez zainteresowania rodziców jak i poprzez ich znajomych i przyjaciół. Chodziłam z ojcem na próby, znalazłam doskonale aktorów teatrów warszawskich i to zarówno ze sceny jak i ze spotkań towarzyskich. Wcześniej też wybrałam sobie swój przyszły zawód. W Warszawie były wówczas dwie prywatne szkoły dramatyczne i dotowa- ną przez miasto szkoła na Okólniku (potem powstał z nią Państwowy Instytut Sztuki). Kiedy powstała „Reduta”, a przy niej Instytut, zostałam po uzyskaniu matury w 1921 roku, jego słuchaczką. W „Reducie”, kiedy mnie zaliczono na skład uczniów, pracowałam nad „Ewą” Szaniawskiego (reżyserował ją Osterwa) i nad „Ulicą dziwną” Andrzeja Czyżewskiego, sztuką, która wywołała później tyle kontrowersyjnych sądów. Reżyserował ją malarz Dobrodzicki. Młodzi aktorzy i uczniowie (było nas 13 osób) przystąpili do pracy nad tą właśnie sztuką.

„Dla mnie „Ulica dziwna” była przeżyciem niezapomnianym. Po raz pierwszy wyszłam na scenę. Po raz pierwszy grałam. Ubrana w czarny trykot, z twarzą pomalowaną białą i różową w charakterze upiora przechodziłam przez scenę, bokiem, z głową zwróconą w kierunku przeciwnym niż ten, w którym się poruszałam. Bardzo byłam przed każdym takim przejściem straszona. Raz potrafiłam Jaracz i o mały włos byłabym się przewróciła, czego w żadnej mierze upiory robić nie powinny.

„Reduta” — teatr nowy, zbudowany na nowych zasadach miał grać repertuar zyskowy polski. Nastawione na zyski teatry warszawskie grywały tylko autorów obcych, zwykle farsy, komedie bulwarowe, a więc sztuki bez większych ambicji artystycznych. Osterwa chciał skupić wokół „Reduty” nie tylko aktorów, scenografów, ale także i autorów. Chciał dać im nie tylko szansę na wystawienie sztuki, ale i szansę na poznanie teatru. Czytał nam Witkacy „Kurkę wodną”, czytał i Wandurski „Smierć na gruszy”. Graliśmy sztuki Zeromskiego, Rittnera, Szaniawskiego.

„Plany repertuarowe omawiał Osterwa z najważniejszymi aktorami w „Reducie”: byli: Duleba, Jaracz, Maszyński, wybrane sztuki czytano na zebraniu całego zespołu i po ostatecznej decyzji rozpoczęły się próby prowadzone przez Limanowskiego i Osterwę. W próbach brał udział zespół aktorski i słuchacze Instytutu.

„Do obowiązków słuchaczy Instytutu, czy — jak nas nazywano — adeptów, należało uczenie się ról, będących w repertuarze i próbach, a także granie ich między sobą. Opiekunem naszym był Józef Poremba — Jaracz. Osterwa, Stefan Jaracz i Władysław

JERZY WITCZAK

DZIWIWA HISTORIA mgr. KOWALSKIEGO

Nie ma w tej opowieści nic sensacyjnego ani mroźnego krew w żyłach. Po prostu, krótka opowieść młodego magistra szukającego pracy. Zapewniam, że nie jest ona typowa dla ogółu absolwentów opuszczających uczelnie. Ale choć nie typowa — to charakterystyczna. Przypuszczam również, że mój magister jest pechowym unikatem, przysłowiowym Lei zorkiem Rojtszańcem rzuconym nagłe w potężne tryby instytucji, urzędów zatrudnienia i plac.

Nasz bohater ukończył wydział humanistyczny i chciał pracować z młodzieżą. Już na trzecim roku studiów „zaraził się” nieuleczalną tą „chorobą”. Całe dnie spędzał w uczelnianym klubie studenckim. Organizował, eksperymentował, rozwiązywał problemy pracy kulturalno-oświatowej. Zdobył doświadczenie i poznał formy pracy z młodzieżą. Powiesiwszy owoc pięcioletnich studiów w politurowanej ramce, dalszy cel miał jasno wytyczony. Nareszcie całkowita rzetelna praca z młodzieżą. I tutaj kłapa! W szkole? I owszem — zapewniano go — ale w klubie, w Domu Kultury? Nie, nie ma miejsca. A w ogóle, czy po to kolega kończył studia? „Rzeczywiście — pomyślał mój delikwent — czy po to mężczyźni się przez pięć lat, żeby zostać instruktorem kulturalno-oświatowym? Jednak uparte, kilkogodzinne rozmowy utwierdziły go w pierwotnym zamiarze. Instruktor kulturalno-oświatowy powinien mieć duże przygotowanie teoretyczno-praktyczne, dysponować pogłębionym zasobem specjalistycznej wiedzy. Magister Kowalski nie jest zarogumięty. Wie, że ma jeszcze pewną braki w swojej „kulturalnej” edukacji. Jednak uparcie obstaje przy swoim. Przecież nie od razu Kraków zbudował. Skierował kroki do organizacji zetemowskiej. To przecież jest go organizacja, niech towarzysze doradzą... I towarzysze z ZMS pomogli. Magister Kowalski wyżył się wątpliwością co do obranego kierunku pracy. Okazało się, że jego studia są bardzo potrzebne, a studencka praktyka w klubie w pełni przydatna dla pracy wśród młodzieży. Młody absolwent znalazł wolny etat instruktora kulturalno-oświatowego w pewnym Międzyzakładowym Domu Kultury.

Poprzedni instruktor kulturalno-oświatowy odszedł właśnie na studia... Odpowiednie władze zatwierdziły kandydaturę mgr. Kowalskiego. Nasz bohater promieniał szczęściem. Tylko zacząć pracować — myślał. Właśnie

wrzesień — miesiąc odbudowy stolicy SFOS — przebiegało przez głowę „szczęścioraz”. Z dyrekcją Domu Kultury omawiano już szeroko przysiężone plany zajęć. Ale stop! Droga dla entuzjastów zamknęła. Zatwierdzenie kan dydatury, to jeszcze nie przyjęcie do pracy. Sprawa „roz biła się” na początku o giu- pie 23 zł. Głupie? Możliwe. Ale magister Kowalski w końcu sierpnia nie mógł do- szukać się takiej sumy w ro- dzinnej skarbnicy. I nie dziwnego. Przecież to ko- niec miesiąca, ludzka rzecz. A tu tylko załatwienie prze- świetlenia i już można pra- cować. Podobno w Ubezpie- czalni Społecznej czeka się na wynik prześwietlenia o- kolo 2 tygodni. To za dłu- go — myślał nasz optymista. Każdy dzień jest drogi. Przy pomnił sobie o studenckiej PALM. Prześwietlenie? Nie prostszego — rzekła uroczą pani Doktor. Tylko Kościusz- ki 48, bo u nas jest remont. W Ubezpieczalni Społecznej remontu nie było, jednak prze- świetlenie nie wykonywano tam również. Znowu maleńki kokwrotek, od Gawła do Pawła. Bezszytecznie. Nasz delikwent wyniku prześwie- tlenia nie otrzymał.

Początkowy optymizm co- raz bardziej opuszczał naszego bohatera. Dobrzy zna- jomą pożyczyl koniecznie 23 zł. Wyrozumieli, pobliżliwi widzieli już nie jedno. Spół- dzielnia w ciągu 10 minut załatwiła sprawę prześwie- tlenia. Następnego dnia, uśmiech- nięty magister melduje się w wydziale personalnym, zakładów finansujących etat Młodzieżowego Domu Kul- tury. Pokazuje papierki, pieczęcie, opinie z dotychczasowej pracy kulturalno-oświa- towej, skierowanie do MDK. Błyska zębrowanym maszyno- pisem upragnionego prze- świetlenia. Ale do pracy jeszcze daleko. Tym razem, veto stawia sędziwa kierow- niczka działu personalnego „Nie sądzę, drogi panie, żeby wyższe studia humanistyczne dawały wam kwalifikacje na instruktora kulturalno- oświatowego” — mówi sondu- jąc delikwenta poprzez oku- lary. I tu biedny Kowalski nie wytrzymał. „Załamał się” na całej linii. Zdobył skie- rowanie z okręgu, przebrnął przez krzyżowy ogień pytań działaczy ruchu kulturalne- go, jest tak błęki celu... aż tu ten stanowczy ton kie- rowniczeki. Stoł nieśmiały, zażenowany. Jakby „pod- szył się” pod czyjąś skórę, przywłaszczając sobie czyjeś kwalifikacje, oszukał tych, co skierowali go do pracy z młodzieżą. Ale kierowniczka jest wyrozumiała dla mło- dych pracowników. Nasyci-

szy wzrok bezradnością sto- jącego, daje potentowi kartę obiegową. Następuje biega- nina po terenie zakładu. Pod pis rady zakładowej, komórki zatrudnienia, bhp, etc. Zosta- ła jeszcze ostatnia rubryka: podpis dyr. zakładu „Zapnij pan marynarkę! To drzwi do dyrektora” — słyszy głos przechodzącego robotnika w szarym kitlu. Młody absol- went przeczesuje włosy, poprawia krawat. Nie odczu- wa tremy. Przykry incydent z personalną zatarł pracow- nicy, których poznał załatwia- jąc formalności. Rozmowa z dyrektorem trwa krótko. „Nie mogę przyjąć. Anuluję kar- te. Ze co? Skierowanie z Okręgu? Nie wiem, nie mo- ja sprawa”. Magister Kowal- ski stoi już za drzwiami. Jest ogłuszony. Jeszcze nie chce wierzyć w to wszystko... U- porczywie wraca początkowo pytanie: „Czyby naprawdę był tutaj niepotrzebny?”

Sprawa wyjaśnia się do- piero w dziale personalnym, gdzie idzie odebrać papiery. „Takie już jest zarządzanie — mówi jedna z pracownic. Trzeba przez Urząd Zatrud- nienia. Poświadczyć panu pi- senko z zarządu i przyjdzie pan do nas. Powinam po- wiedzieć to wcześniej, ale zapomniałam, tak mało mie- liśmy kontaktów” — tłumaczy zaferowana urzędniczka. „Rzeczywiście” — myśli nasz bohater, ale trudno o kon- takty w zakładzie, jeśli nie jest się jeszcze pracowni- kiem.

Jest już zmęczony. Nic dziwnego. Takie dni... Dyrek-

tor także musiał być bardzo przemęczony lub zapracowa- ny. Opryskliwy, nie miał chwili czasu na wytłumacze- nie.

W końcu nasz delikwent wraca z Urzędu Zatrudnie- nia. I znów z pustymi rękami. Pani z personalnego po- informowała że. Biedny ma- gister nie sam nie załatwił. Musi być zgoda Zjednocze- nia, powiadomienie Urzędu Zatrudnienia o wakującym etacie itp. Sprawa przeszła do Zjednoczenia. Tu magister Kowalski jest już tylko bier- nym i niewątpliwym widzem. Cóż to jednak dla niego? Jest optymistą, a do czekania już się przyzwyczaił.

Szkoda tylko, że musi cze- kać również praca w Mło- dzieżowym Domu Kultury. Zakłady dzwonią, pytają o filmy, prelekcje, „wrześnio- we” imprezy, a ich instruk- tor kulturalno-oświatowy ut- knął w pewnym przedsię- biorstwie... A może by tak etaty pracowników Młodzie- żowego Domu Kultury oddać w ręce dyrekcji danej pla- cówki? Przecież podobne pro- pोजycje już były, a ich rea- lizacja przekreśliłaby takie- dziwne i pechowe historie. Zabezpieczenie planowanego, kulturalno-oświatowego ży- cia pracowników zakładów, jest rzeczą bardzo ważną. Trzeba o tym pamiętać! Kie- dy o tym piszemy, mgr. Kow- alski jest już na pewno pra- cownikiem Międzyzakładowe- go Domu Kultury. Ale piszę ku przestrodze innym, bo Kowalskich w naszym kraju jest przecież bardzo dużo.

„Szukamy białych plam”

Co w Sieradzu?

Oddział PUPIK „Ruch” w Sieradzu obejmuje swoim za- sięgiem 42 kioski sprzedaży de- talicznej prasy, w tym w sa- mym mieście 11. Kierownikiem Oddziału jest p. Irena Modrzejewska, długoletni pracownik tego przedsiębiorstwa. Pytam ją o pracę i działalność. Często kon- takty z władzami Pow. Kom. PZPR i systematycznie orga- nizowane narady z personelem kiosków „Ruchu”, wsłuchiwa- nie się w postulaty i uwagi sprzedawców wpływają na to, że wzrost sprzedaży prasy, ma- lejże zwroty. Trzeba jednak przyznać, że p. Modrzejewska nie ma łatwego życia. Lokal- ni biurowi składa się z dwóch niedużych pokoiów, w któ- rych urzęduje 10 osób, brak jest jakiegokolwiek pomieszcze- nia dla kierownika, brak ele- mentarnych wygod (prywatny budynek), nieodpowiedni i cła- sny magazyn na artykuły za- prasowe i książki, z braku in- nego środka lokumacji wóz konny do rozwożenia prasy po mieście, wszystko to nastroja kierowniczkę Oddziału wiele trudności i kłopotów.

„Pocięłam się — mówi na zakończenie naszej rozmowy p. Irena Modrzejewska — że wreszcie i my otrzymamy jak- kieś solidne pomieszczenia. Przedsiębiorstwo nasze nosi się bowiem z zamiarem budowy nowego obiektu w Sieradzu, który ma być zlokalizowany przy ul. 15 Grudnia. Nikt chyba bardziej od nas nie pragnie, aby zamiar ten był jak najprędzej zrealizowany, i żeby na pustym placu, który już jest zakupiony, rozpoczęto budowę, której termin, niesz- ty, odkładany jest z roku na rok”.

14 lat pracy w „Ruchu” dało p. I. Modrzejewskiej dużo doświadczenia i umiejętność kie-

rowania całością Oddziału. Mi- mo młodego personelu, jakim dysponuje i trudnych warun- ków lokalowych potrafi ona — wraz ze swoją „prawą ręką” — jak mówi — p. Danieł Pi- otrowską kierować kolportażem i administracją. Często kon- takty z władzami Pow. Kom. PZPR i systematycznie orga- nizowane narady z personelem kiosków „Ruchu”, wsłuchiwa- nie się w postulaty i uwagi sprzedawców wpływają na to, że wzrost sprzedaży prasy, ma- lejże zwroty. Trzeba jednak przyznać, że p. Modrzejewska nie ma łatwego życia. Lokal- ni biurowi składa się z dwóch niedużych pokoiów, w któ- rych urzęduje 10 osób, brak jest jakiegokolwiek pomieszcze- nia dla kierownika, brak ele- mentarnych wygod (prywatny budynek), nieodpowiedni i cła- sny magazyn na artykuły za- prasowe i książki, z braku in- nego środka lokumacji wóz konny do rozwożenia prasy po mieście, wszystko to nastroja kierowniczkę Oddziału wiele trudności i kłopotów.

„Pocięłam się — mówi na zakończenie naszej rozmowy p. Irena Modrzejewska — że wreszcie i my otrzymamy jak- kieś solidne pomieszczenia. Przedsiębiorstwo nasze nosi się bowiem z zamiarem budowy nowego obiektu w Sieradzu, który ma być zlokalizowany przy ul. 15 Grudnia. Nikt chyba bardziej od nas nie pragnie, aby zamiar ten był jak najprędzej zrealizowany, i żeby na pustym placu, który już jest zakupiony, rozpoczęto budowę, której termin, niesz- ty, odkładany jest z roku na rok”.

K. O.

Staszkowski zadawali nam teksty, na których uczylimy się wymowy i wiersza. Mie- liśmy też ćwiczenia ruchowe; rytmikę prowadził Stanisław Baziński, a taniec klasyczny Kulesza, wówczas baletmistrz Opery. Wykłady teoretyczne z dziedziny historii sztuki, kostiumologii, historii teatru i literatury prowadzili zapra- szani przez „Redutę” profe- sorowie uniwersytetu”.

„Różnica między Instytu- tem, a innymi szkołami ak- torskimi nie polegała na od- mienności toku nauki, ale na odmienności zasad wycho- wawczych. Osterwa nie tylko przygotowywał do „grania”, ale też, i to było bodaj naj- ważniejsze, wychowywał no- wego „człowieka teatru”. Teatr miał być dla nas nie tylko miejscem pracy, ale i miejscem egzystencji. Uczono nas nowej etyki aktorskiej, nowego widzenia teatru”.

„Wówczas próby analitycz- ne, próby nie tylko sytuacyj- ne, ale i kontaktowe, próby w kostiumach, przy świat- łach, w pełnych dekoracjach — to było nowum. W innych teatrach warszawskich próby odbywały się w piaseczach i kapeluszach. Reżyser ustawił tylko sytuację, aktor resztę robił sam. Dopiero po premie- rze poznawał kostium, ota- czające go przedmioty, pełny tekst sztuki, jego interpretację w ustach partnera. Taki był obyczaj. W „Reducie” praca była zespołowa, wszy- scy zainteresowani byli w jej efektach, każda praca była tak samo ważna, każda się li- czyła. Uczono nas szacunku do siebie i do miejsca naszej pracy. „Reduta” zerwała z wieloma tradycjami teatralną u- świeconymi zasadami, walczono w niej nie tylko o nowe oblicze teatru, ale o nową etykę aktorską, o nową rangę tego zawodu. Ci, którzy się w nim wychowali, nigdy nie przestali być redutowca- mi”.

„Kiedy jeden z redutow- ców, aktor i reżyser, Karol Benda objął w 1925 roku teatr w Toruniu, rozpoczęłam w tym teatrze pracę aktor- ską, a potem reżyserką. Egzamin reżyzerski przed komi- sją ZASP, której przewod- niczył Leon Schiller, zdałam w 1934 roku, przedstawiając opracowanie „Wyzwolenia” Wyspiańskiego. „Miałam już wtedy za sobą samodzielnie przygotowanych pięć przed- stawień. Mój debiut reżyser- ski, to sztuka dziś już zapom- niana: „Sarajew 1914” Bran- dowskiego. W Toruniu spe- działam dziewięć lat (pracowa- łam czas jakiś w teatrze wileńskim u Zelwerowicza); wspominał ten okres mojego życia z rozczuleniem. Był to teatr z ambicjami, teatr spełniający bardzo istotną rolę w kształtowaniu polskiej kultury na Pomorzu. Tam po- znałam wszystkie trudy i u- roki wędrownego życia”.

Gdyby ktoś zechciał sporzą- dzić rejestr ról Hanny Mał- kowskiej, wymienić by ich musiał aż 150. Rejestr sztuk przez nią reżyserowanych jest również imponujący: było tych sztuk bowiem aż 68. Pani Dziekan występuje dziś na scenie Teatru im. Jaracza i wszyscy znamy grane tam przez nią role. Niedawno re- żyserowała „Wierną rzekę” i zeszłoroczny dyplom absol- wentów Szkoły „Antygone”. Para się także piórem. Jest autorką pięknej książki „Wspomnienia z Reduty” i całego szeregu artykułów.

„Praca dydaktyczna zabie- ra mi ogromnie dużo czasu. Prowadzę wiersz na trzech- latach, pracuję aż w pięćdzie- sięciu studentami. Więk- szość profesorów przyjeżdża do Szkoły na zajęcia i wy- kłady z Warszawy, do mnie należy więc opieka nad stu- dentami. A jest to młodzież wrażliwa i trudna, której wy- chowanie wymaga nie tylko specjalnych metod, ale i szczególnej troskliwości”.

„Znałam i grywałam z wie- łoma wybitnymi aktorami. Większość ich traktowała swoją pracę artystyczną po- ważnie, nakładając na siebie surowe obowiązki. Byli to lu- dzie o rozległych zaintereso- waniach i dużej wiedzy. A teatr stanowił treść ich życia. Normalne życie — to był tyl- ko margines”.

„Aktor musi być obdarzo- ny pewnym zespołem dyspo- zycji psychologicznych i u- zdolnień. Musi je ćwiczyć i rozwijać. Nie ma aktorstwa bez pracy! Jest to najpięk- niejsze powołanie, zawód który daje możliwość wielu egzystencji, wielu równoczes- nych istnień, w których czło- wiek nie jest skrepowany ani czasem, ani przestrzenią. Ale też zawód bardzo trud- ny, wymagający wielu wy- rzeceń”.

EKRANIK

ceenję G. Moskwitza poświęconą „Złotu” W. J. Hasa. Recenzent pisze m. in.: „Polskie filmy nadal potwierdzają swą niezależność w podejmowaniu tematów stosowaniu form.

„Jeśli nawet film ten jest chwilami zbyt przesympolizowany, literacki i rozgadany, to jednak nie można mu odmówić głębszych wartości. Urzeka wizualnie i będzie zapewne stanowić poszukiwaną pozycję repertuaru kin wyspecjalizowanych. Posiada dobrze utrzymane tempo i rytm, przekazujące pełną symbolikę akcję w sposób absorbujący uwagę widza.

„Reżyser Wojciech Has wykazuje subtelne wyczucie w kształtowaniu postaci i akcji, nadając filmowi bardzo osobisty charakter.

„Jeden z ciekawszych filmów jakie powstały ostatnio na Wschodzie”.

* * *

Komisja kwalifikacyjna Państwowego Komitetu ds. Kinematografii przy Radzie Ministrów ZSRR awansowała do wyższej kategorii (istnieją trzy kategorie reżyserów początkujących oraz najwyższy stopień reżyser-realizator) kilku reżyserów radzieckich. Najwyższy stopień uzyskali: A. Ałow i W. Basow („Bitwa w drodze”), W. Wengierow („Pusty kurs”), L. Kulidżanow („Husarska ballada”), S. Samsonow („Tragedia optymistyczna”) i M. Szwajcer („Sprawa 13”, „Zmartwychwstanie”).

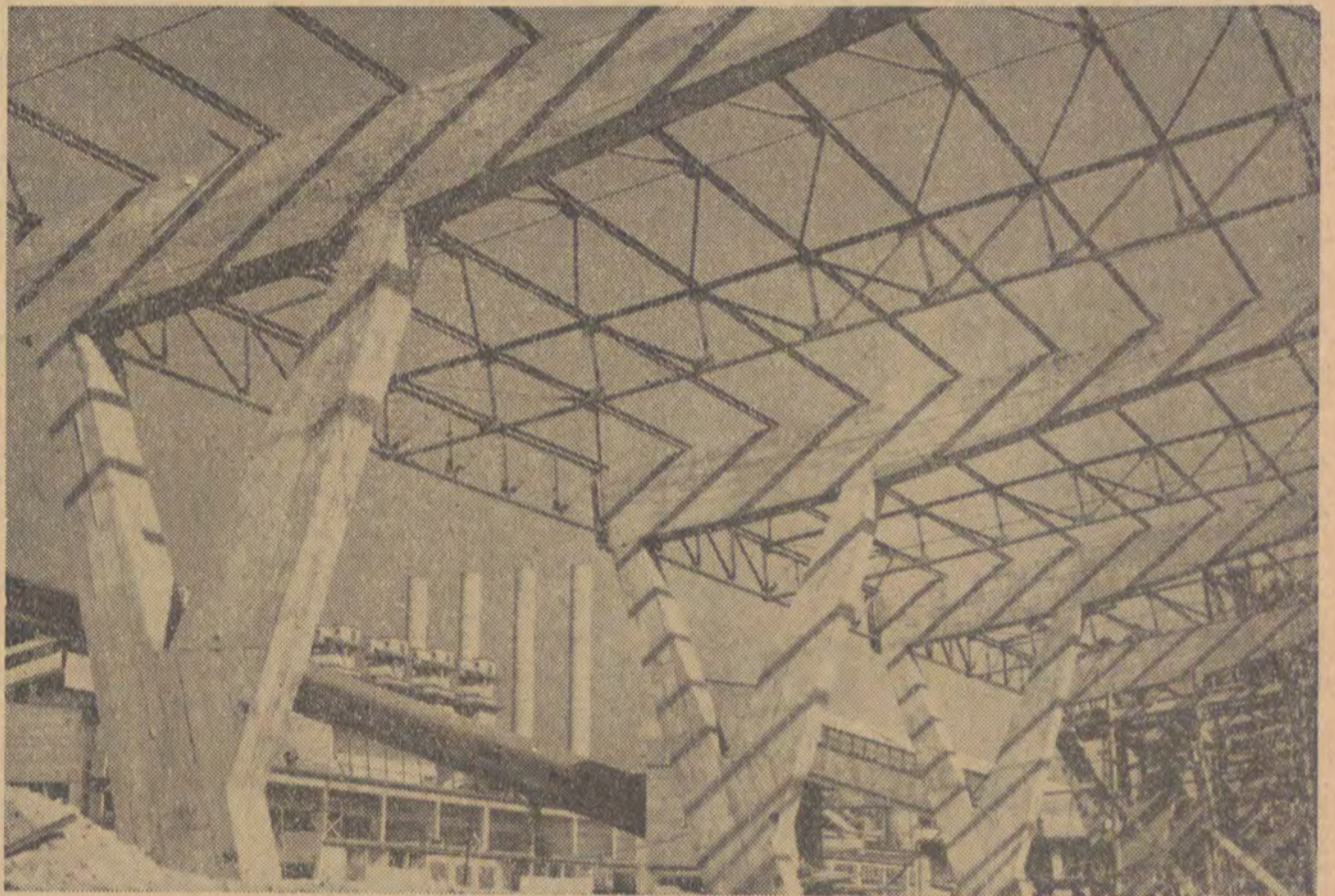
Jeden z najstarszych twórców filmu dokumentalnego, J. Uezitiel, realizuje w Leningradzie film pt. „Jej wysokość klasa robotnicza”, w którym zostaną wykorzystane zdjęcia i dokumenty archiwalne z okresu pierwszych dni istnienia władzy radzieckiej pod kątem udziału robotników w umocnieniu ustroju socjalistycznego.

Film Petelskich „Czarne skrzydła” jest przedmiotem dalszych, licznych recenzji w prasie radzieckiej. W „Sowieckim Ekranie” w recenzji M. Liesowaja czytamy m. in.:

„Zarówno w powieści jak i w filmie dano szeroką panoramę ówczesnego polskiego społeczeństwa, dokonano wnikliwego zbadania losów ludzkich. „Badanie”. Określenie to nie jest przypadkowe w stosunku do „Czarnych skrzydła”. To ono wyjaśnia nieco chłodną, surową tonację filmu. Realizatora interesuje postępowanie przedstawicieli różnych warstw społecznych w skomplikowanej i dramatycznej sytuacji narastającego ruchu rewolucyjnego, walk klasowych proletariatu.

Radziecki krytyk filmowy, Michał Bielawski, pisze o „Czarnych skrzydłach”, w „Wieczornej Moskwie”: „Czarne skrzydła” — to interesujące, świadczące o таланcie twórców dzieło. Można w nim znaleźć ciekawe reżyserkie i operatorskie pomysły, świetnie grają aktorzy. Cieszą również twórcze poszukiwania realizatorów, usiłujących zawrzeć w jednym filmie elementy publicystycznego, psychologicznego i przygodowego genre. Wszystko to polega zainteresowanie dla filmu, świadczą o twórczych siłach i sukcesach polskiej sztuki filmowej”.

Tygodnik amerykański „Variety” umieścił ostatnio re-



W Działoszynie zbliża się moment oddania do pierwszego rozruchu olbrzymiej cementowni. W trakcie budowy tego kolosa przemysłowego ekipa filmowa Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi zrealizowała film dokumentalny zatytułowany „Na przykład Działoszyn”. Realizatorami są: reż. Stanisław Grabowski i operator Janusz Czecz. Premiera filmu odbędzie się w Działoszynie jeszcze w tym roku. Na zdjęciu kadr z wymienionego filmu.

Fot.: J. Czecz



W stolicy filmu w Hollywood już od dłuższego czasu daje się odczuć kryzys tzw. filmu średniego. Produkcja tego rodzaju filmów spada z dnia na dzień, ustępując miejsca widowiskowym supergigantom. Po słynnej i niezwykle kosztownej „Kleoptrze” oczekują swojej kolejki „My Fair Lady” Cukora (koszt 14 milionów dolarów), „Największa historia jaką kiedykolwiek opowiedziano Stevensa (22 miliony), „Szalony, szalony, szalony jest ten świat” Kramera (20 milionów) itd. Columbia przygotowuje pełnoekranową wersję Biblii.

„O produkcji decydują starzy, zmęczeni ludzie — mówi Paul Wendkos, przedstawiciel hollywoodzkiej nowej fali. — Nie mogą już tworzyć dzieł wielkich — robią filmy-giganty, to jedyna rzecz, jaka ich jeszcze może podniecić”. Personal pracujący w Hollywood składa się również z ludzi starych, skostniałych w rutynie i raz osiągniętej doskonałości. Przeciwny wiek pracownika technicznego wytwórni waha się od 55 do 60 lat. Są to znakomici fachowcy, ale biada temu, kto zechce przy ich pomocy zejść z utartych ścieżek.

„Nie można u nas nakręcić filmu w stylu europejskim — mówi Buzz Kulik — żaden operator nie zrobi takich zdjęć, jakie się robi na przykład we Włoszech. Lękaliśmy się, że związek już go więcej nie zatrudni”.

„W dziedzinie oświelenia mówi Dawid Swift — blisko od 20 lat nie się u nas nie zmieniło”. Większość młodych reżyserów zdaje sobie sprawę z tego, że pod względem formalnym Hollywood pozostało znacznie w tyle za filmem europejskim”.

„Oto parę sylwetek i wypowiedzi „młodych” (prawde powiedziawszy nie takich znów młodych, bo większość z nich zbliża się do czterdziestki (reprezentantów hollywoodzkiej nowej fali).

Paul Wendkos — autor ośmiu dosyć nierównych filmów, z których największą sławę zyskał sobie „Gidget jedzie do Rzymu” („Gidget

goes to Rome”), „Bitwa na Morzu Koralowym” („Battle of the Coral Sea”) i „Anielskie dziecko” („Angel Baby”), robi filmy dla telewizji i zbiera pieniądze na „własny”, ambitny film o perypetiach amerykańskiego Don Kichota w XX wieku. Wendkos uważa, że Hollywood chyli się ku upadkowi. Nie można tu robić filmów typu „Ośmiu i pół”, zawierających „osobista,

działa wartościowe, autorskie, eksperymentalne. Ale taki ten nie dotarł jeszcze do świata domości dystrybutorów. W Wytwórni United Artist odmówiono rozpowszechniania filmu Franka Perry „Dawid i Liza”. Potem okazało się, że film otrzymał szereg nagród międzynarodowych i cieszył się dużym powodzeniem u publiczności. „Ale przyszłość — dodaje reżyser — napawa optymizmem. Mimo wszystko produkcję zaczynać dać na filmy artystyczne i mające coś do powiedzenia”.

Tim Whelan — terminował u Hitchcocka, Cukora i Quine’a, aby jak mówi „nauczyć się tego, czego robić nie należy”. Nakręcił interesujący film o Hong-Kongu pt. „Wydarzy z paszczy tygrysa” („Out of the Tigers Mouth”). Przedstawił w nim Hong-Kong jako rodzaj współczesnego piekła. Film kreocono na ulicach miasta. Chcąc uzyskać autentyczny i synchroniczny dźwięk, reżyser umieścił mikrofony w

leży widzowi dostarczyć dużo dobrego deseru... W dwa dni później, reżyserie filmu powierzona V. Minelli”.

„Istota sprawy polega na tym, że wciąż jeszcze produkcje są najmocniejsi”. — dodaje Kulik.

John Cassavetes, twórca znanych u nas „Cieni” opuścił Hollywood po zrobieniu tam dwóch niezbyt udanych dzieł: „Spóźniony blues” („Too late blues”) i „Dziecko czeka” („A child is waiting”) i wraca do Nowego Jorku. Jego kariera hollywoodzka przyniosła mu tylko rozczarowania. „Nie łatwo tu robić filmy, jeśli się nie chce iść na kompromisy. Jedyną wartością, jaką może wnieść do filmu reżyser jest przecież jego osobista koncepcja, a nawet tego nam się odmawia”. Swoją powrót do Nowego Jorku, traktuje Cassavetes jako wyzwanie rzucone skostniałemu przemysłowi filmowemu. On i grupa bliźnich kręcić filmy na taśmie 16 mm. Działalność grupy zainauguruje debiut reżyserki świetnego aktora Montgomery Clifta.

„Mam 33 lata — mówi Cassavetes — nie mam wiele do powiedzenia, ale muszę to powiedzieć. Nikt w Europie nie zna prawdziwego oblicza Ameryki. Amerykanie są narodem o gwałtownych namiętnościach, ale nigdy ich, jako takich nie pokazano. Nie mamy odwagi ujawnić naszych namiętności, chyba że w otoczce dowcipu i ironii”.

Rokrocznie przybywa młodych ludzi, którzy pragną wybrać własną drogę i odejść od utartych schematów produkcyjnych Hollywood. Wymienić tu można jeszcze Gary Gravera — twórcę „Wielkiego marzenia” („The great Dream”) lub Kenta McKenzie — autora „Wygnańców”. Huberta Cornfielda i innych. Produkcji hollywoodzkiej nie potrafią się, jak widać, nagiąć do ducha nowych czasów. Ich opór może ich drogę kosztować, albowiem nie samymi superprodukcjami człowiek żyje. W Europie dopuszczono do realizacji filmów wielu młodych i nieznanych twórców, pozwolono im na różne eksperymenty i okazało się, że w rezultacie producenci nieźle sobie zarobili. Tymczasem w Hollywood ludzie młodzi i niezależni nie mają właściwie żadnych szans. Co roku Wydział Filmowy Uniwersytetu w Columbia wypuszcza około 30 dyplomantów. Z 60 absolwentów tej uczelni w latach 1959-1960, tylko jednemu udało się do tej pory zrobić film i to w Irlandii. Drugi został asystentem Wildera, a trzeci agentem reklamowym Wytwórni Fox.

CZY KRYZYS HOLLYWOOD?

indywidualną wizję istnienia”. Dlatego właśnie robi filmy dla telewizji, westerny, filmy wojenne, komedie, przygotowując się do naprawę swojego autorskiego filmu. Z Europejczyków, Wendkos wielbi Felliniego, natomiast nudzi go Visconti, a twórczość Resnaisa uważa za wielkie oszustwo.

Denis Sanders — zyskał sławę jeszcze w roku 1954 krótkometrażowym filmem „Czas wydarzy wojnę” („Time out of War”), który zdobył siedem międzynarodowych nagród. Potem Sanders dalej zbierał laury w San Francisco, Londynie i Locarno za swoją „Zbrodnię i karę” oraz „Wojenne polowanie” („War Hunt”). Sanders uskarża się na konieczność przyjmowania scenariuszy filmów B klasy, „bo lepiej zrobić coś niż nie”. Trzeba sobie wyrobić pozycję w oczach producentów i dystrybutorów, aby móc realizować dobre filmy. Istnieje zapotrzebowanie społeczne na

kieszeniach aktorów. Buzz Kulik — wytrawny realizator telewizyjny nakręcił ciekawy film o młodzi „Wybuchowe pokolenie” („The explosive generation”) a następnie „Evel przyjdź, Evel odejź” („Evel come, Evel go”). I on padł ofiarą dystrybucji. Kulik w następujący sposób opisuje praktyki hollywoodzkiej produkcji: „Joe Pasternak dał mi do przeczytania scenariusz. Taka sobsa historię o młodym wdowcu, którego powtórnie żeni siedmioletni synek. Pasternak, chciał, żeby to zrobić w kolorach, ja byłem przeciwny, ja chciałem kręcić w Nowym Jorku, tym razem on był przeciwny. Proponowałem kilku aktorów. Odrzucił moje sugestie. W dwa dni później zażądał rewizji scenariusza, mówiąc: produkuj filmy tak jak kucharz przygotowuje posiłki. Potrzebne są przyprawki, jarzyny i salata. Deser stanowią dziewczęta. Na-

OKUPACJA NA WESOŁO...

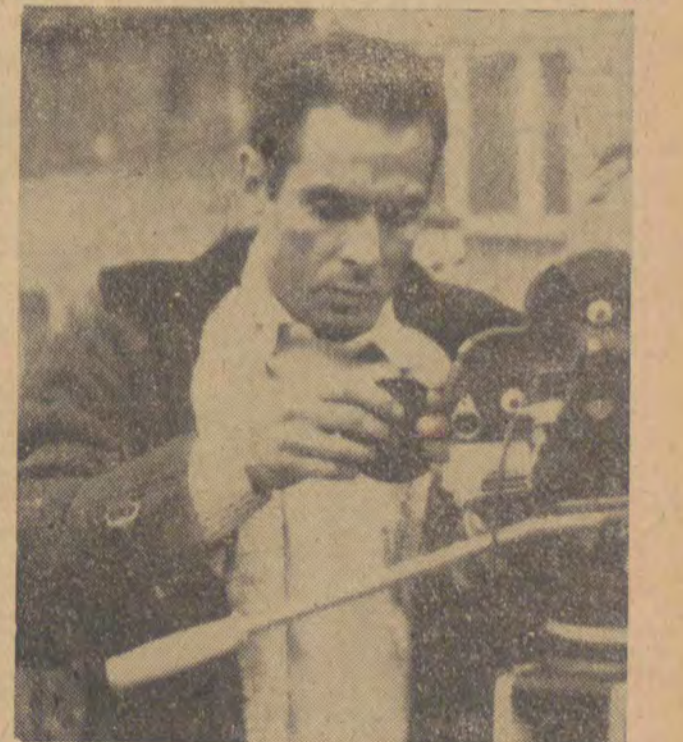
W pierwszej połowie października br. rozpoczęto na ulicach miasta Warszawy zdjęcia do filmu „PISTOLET MASZYNOWY FIAT”. Jest to wesoła komedia okupacyjna, obfitująca w wiele ciekawych, nie pozbawionych emocji momentów oraz przegód włoskiego żołnierza, udającego się z wschodniego frontu do swej ojczyzny, na urlop.

Głównym konfliktem filmu jest utracony przez urlopowicza podczas podróży podciąg (na terenie Polski) pistolet maszynowy typu „FIAT” — do okola którego toczą się przez zabawnie perypetie. Oczywiście, bohaterowi naszymu udaje się w końcu odnaleźć swoją zgubę, która w międzyczasie zawędrowała do jednego z obozów partyzantów polskich w lesie.

Ponieważ z akcji scenariusza wynikało, że rolę głównego bohatera powinien grać rodowity Włoch, zaangażowano zatem znanego filmowego aktora wło-

skiego Antonio Cifarellego. Pozostałe role powierzono aktorom polskim, Zbigniewowi Cybulskiemu, Elżbiecie Czyżewskiej, Jarosławowi Stepowskiemu, Bronisławowi Darskiemu, Mieczysławowi Stoorowi i innym... Na marginesie tego wszystkiego warto zaznaczyć, że film nakręcony zostanie w naturalnym kolorze, systemem panoramicznym, w przyspieszonym tempie ze względu na jesienną porę roku oraz terminy, jakimi aktor włoski związał się nieco wcześniej z amerykańskim producentem filmowym. Bowiemy w drugiej połowie grudnia, zmuszony będzie udać się do Południowej Ameryki, aby wziąć udział w nakręcaniu następnego filmu produkcji amerykańsko-włoskiej. I jeszcze jedno: gwiazdor filmowy Antonio Cifarello, bardzo sobie cenii współpracę z polskimi realizatorami — reż. Stanisławem Lenartowiczem i operatorem Antonim Nużyńskim.

(Z.)



Antonio Cifarello podczas przerwy w zdjęciach filmowych zajmuje się pracą przy kamerze — jego ubocznym „hobby”.

Oprac. M. KORNATOWSKA

Ludzie i Książki

Bania

Z teatraliami

Każdy, kto śledził skrupulatnie ruch wydawniczy, zwrócił uwagę na to, że ostatnio rozbiła się bania z książkami o tematyce teatralnej. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę kilka tytułów. Oto „Dzieje sceny kaliskiej” Stanisława Kaszyńskiego, publikacja tym miłsza sercu mojemu, że napisana przez przyjaciela, w dodatku od lat patriotę łódzkiego. Oto zbiór krytyk teatralnych Wacława Kubackiego „Na scenie”. Oto książka Jana Parandowskiego „Kiedy byłem recenzentem” i wiele, wiele innych, których nie sposób wliczyć.

Dziś chciałbym się zająć najnowszymi wydawnictwami z tej dziedziny. Opuścili one prasę drukarską w ostatnich dniach i niektóre z nich, być może, nie zdążyły jeszcze trafić na półki księgarskie. Półki jednak ten felieton pojawił się na łamach tygodnika, zdają i te książki na lada. Polska literatura teatrolologiczna, w porównaniu z tym, co dzieje się za granicą, jest raczej uboga. Może właśnie tym należy wytłumaczyć tę gorączkową krzątanie wydawniczą w ostatnim okresie. Chodzi o wyrównanie zaległości i dotrzymanie w tym względzie kroku starszym literaturom świata.

Zacznę mój przegląd od pracy Bronisława Horowicza „Teatr operowy”. Pojawia się ona w dobrym momencie. Wokół problemu sztuki operowej od niejakiego czasu toczy się u nas w kraju dyskusja. Jedni twierdzą, że opera się zestarzała tak bardzo, iż nie będzie w stanie jej ożywić, inni — że opera znalazła się w stadium głębokiego kryzysu, jeszcze inni, że przeciwnie sztuka operowa kwitnie i długie lata świetności ma przed sobą. Niezależnie od tego, do jakiej grupy się zaliczamy, obok książki Horowicza nie powinniśmy przejść obojętnie, jeśli, naturalnie, interesuje nas sztuka operowa. Znajdziemy w tej książce wiele cennego materiału historycznego, a także rzut oka w przyszłość: na możliwości i perspektywy królowej sztuk teatru. Co prawda jedna rzecz może zgniewać każdego polskiego czytelnika. Bronisław Horowicz pochodzi z Polski, a nie wspominał w swej publikacji ani jednym słowem o Montusze, który, jakby nie było, stworzył operę narodową. Ale chociaż gniew nasz będzie słuszny i sprawiedliwy, zapamiętajmy nad sobą i zgódźmy się, że mimo to jest to książka wielce pożyteczna dla każdego inteligentnego człowieka.

Drużba publikacja wysłała srodo pióra znanego badacza dawnego teatru, Zbigniewa Raszewskiego, a pełny jej tytuł brzmi: „Staroświeczyna i postęp czasu. O teatrze polskim 1765—1865”. Mówi ona o dyrektorach, aktorach, dramaturgach, mecenasach i opiekunach Melpomeny w tym trudnym stuleciu, kiedy po stracie niepodległości, teatr polski był organizatorem życia kulturalnego, ochronicielem słowa i budziacielem uczuć patriotycznych w narodzie. Kluczową sprawą książki jest starcie tradycji z postępem, co zresztą uwidoczniło już w samym tytule. Zbigniew Raszewski pisze piękną polszczyzną, jasno i przejrzysto, źródłowo i z wdziękiem. Choć książka czyni żądostę wynomogom dzieła naukowego, zawiera obserne przypisy i źródłową bibliografię, czyta się ją bez trudu, a załączone teksty starych piosenek przydają

jej większego uroku. Kilkanaście ilustracji wzbogaca i tak już bogatą w cenne wiadomości książkę, która dla teatrologa jest niezbędna, a dla fachowemu czytelnikowi nie tylko nie zaszkodzi, lecz uzboliwszy go w cenny materiał, pobudzi do rozmyślań o losach sztuki polskiej w odległym stuleciu.

„Twarze teatru” Jana Pawła Gawlika to praca na naszym gruncie rzadka, a więc tym cenniejsza. Zawiera ona siedemnaście portretów współczesnych aktorów polskich z dobrze dobranym materiałem ikonograficznym. Po pisarzu zostaje książka, po malarzu obraz, po muzyku utwór muzyczny. Najbardziej upodobał mi się aktor. Cóż zostaje po nim? Recenzja w starej gazecie, kilka fotografii, wspomnienie w gronie przyjaciół. To diablo mało. J. P. Gawlik utrwała w swoich szkicach sylwetki wybitniejszych aktorów, naszych scen, m. in. pisze on o Janie Świderskim, Gustawie Holoubku, Jacku Woszczerowiczu, Elżbiecie Barszczewskiej, Halinie Mikołajskiej, Aleksandrze Dzwonkowskim i Kazimierzu Rudzkiem. Bodaż się takie książki na kamieniu rodzily. W Niemczech nawet Średniej miary aktor doczekuje się za życia monografii. U nas przez wiele lat nie doczekali się takich monografi aktorzy wybitni. W serii wydawnictw, ogłaszanych od lat nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, przypominano wielu wybitnych aktorów, których zasługi dla sceny polskiej są niewątpliwe. Ale książki Gawlika próbuje oddać artystom sprawiedliwość za życia. I to jest dobrze. I tak być powinno.

Wreszcie pozostała mi do omówienia praca, zawierająca wybitne spostrzeżenia, sądy i wrażenia prof. Piecyka i prof. Wątróbki o teatrze, filmie i telewizji. Ponieważ jednak uczeni profesorowie Piecyk i Wątróbka piszą kieszonko, ich cenne poglądy zanotował Wiech i wydał w książce pod tytułem „Ksiuty z Melpomeną”. Nie wiem, jak tam kto, ale ja od lat jestem wielbicielem Wiecha. I pewnie mam sprzymierzeńców. Przypominam sobie, że jeszcze przed wojną Kazimiera Illakowiczówna zgłosiła Wiecha do tzw. Nagrody Niezależnych, ufundowanej przez „Wiadomości Literackie”. Wiech tej nagrody nie dostał, ale Illakowiczówna zwróciła uwagę opinii czytającej na wartości literackie felietonów Stefana Wiecheckiego. „Ksiuty z Melpomeną” są równe „Helenie w stroju niedbałym”. Nie w felietonach sądowych, ale właśnie w historycznych i teatralnych. Wiech jest najlepszy: najdowcipniejszy i najbardziej zaskakujący. Takie felietony z omawianego tu zbioru jak „Lilia Wenecja”, „Hotello”, „Dwoje na tapczanie”, „Kordian i cizia” i wiele innych to male arcydzieła pomysłowości i humoru. A przy tym co za pypszny przyczynek do badań nad popularnością sztuki wśród ludu przedmiest i peryferii. Książka Wiecha jest święta. Można ją czytać na głos jak niegdyś „Wieczory rodzinne”.

Wiem, oczywiście, że niektórzy nie czują zupełnie Wiechowskiego humoru. No cóż, mogę im tylko współczuć. Ale nawet tym, którzy na dotychczasowych książkach Wiecha się zawiedli, radzę spróbować raz jeszcze. Czuję, że tym razem się uda. Wiec życzyć powodzenia w lekturze!

(Zamieszczamy ostatni fragment powieści F. Kafki)

W południe, 15 maja, Ernest Bibow rozkazał rozlepić na murach ogłoszenie o planowej likwidacji getta. Likwidacja miała być zakończona w ostatnich dniach czerwca. Ogłoszenia przyrękały spokojne przesiedlenie do innej pracy w Rzeszy i ustalały kolejność transportów; jako pierwsze miały przerwać prace resorty handlu drzewem, słomianych butów i ręcznych prac w dalszych tygodniach miały być przesiedlane resorty: szewski, krawiecki i rymarski wspólnie z działami produkcji pomocniczej.

Pracownicy wszystkich resortów tego dnia skończyli pracę o kwadrans przed i zebrali się na wielkim zamkniętym podwórku resortu krawieckiego na Łagiewnickiej, gdzie napręde zbudowano małą trybunę. Mężczyźni i kobiety, idąc prosto z pracy, napływali przez główną bramę i przez kilka bocznych.

Dzisiejsze ogłoszenie zniszczyło w nich to, w co mocno wierzyli: przekonanie, że zostaną w getcie.

Riva Wiślicka patrzyła przez okno kuchni resortu krawieckiego na tłum spracowanych ludzi. To tu, to tam zauważała towarzyszy z Bundu, współpracowała z nimi w ubiegłym roku w akcji pomocy dla Warszawy. Chaim Gotthajner z mistrzem Bermanem stanęli na uboczu, czekali na rozpoczęcie wiecu. Riva Wiślicka wyszła na próg i ukloniła się obydwoim.

Przez główną bramę na podwórze wjechało otwarte osobowe auto. Siedział w nim obok starosty Rumkowskiego Ernest Bibow w skromnym cywilnym ubraniu. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku samochodu. Bibow przepuścił najpierw starca i wszedł za nim na trybunę. Chaim Rumkowski zwrócił się w stronę tłumy i powiedział: „Stoimy przed ważnym momentem w naszym życiu. Odchodzimy stąd wszyscy. Komendant łódzkiego getta chce oświadczyć przemówić do was”.

Ernest Bibow obrzucił najważniejszym spojrzeniem plac. Na rozległym podwórzu stali głowa przy głowie. W oczach ludzi zauważył pogodzenie się z losem.

„Meine Juden! Ich schwore euch: ihr geht alle in die Arbeit nach aussig!” Mówił wolno, chciał żeby go dobrze rozumieli. Tłum zafalował. Wewnątrz nieco się uspokoił po godzinach zmartwień o przyszłość. Bibow z zadowoleniem oddychał. Spojrzał na Rumkowskiego. Starzec stał z odkrytą głową, nachmurzony, jego siwe włosy rozwiewał przedwiozorny wiatr.

Bibow domyślał się, że Rumkowski dobrze wie, że to co będzie mówić jest najzwyklejszym kłamstwem, ale nie zamierzał się tym przejmować.

„Nie wiercie mu ludzie, on nas oszukuje!” — zawołał ktoś z prawej strony trybuny.

Bibow odwrócił się w kierunku, z którego usłyszał głos i zobaczył pomarszczoną kobietę w białym fartuchu. Wiatr wdrążył jej głos w stojący tłum.

Niemiec zeszytywał. Myślał: co to znaczy? Może będą się buntować? Zobaczył, że jeden z porządkowych uderzył kobietę od tyłu. Upadła na ziemię. Kilku ludzi podniosło ją i odniosło do kuchni.

„Znacie mnie już od sześciu lat!” Mówiła do Bibow przechrzył się przez skraj trybuny. „Broniem was dotąd, dokąd tylko mogłem. Teraz jestem bezsilny. Rozkaz o likwidacji getta wydał mi zwierzchnicy. Pojedziecie do

nowej pracy, nie będzie gorzej od dotychczasowej”.

Zauważył, że lekka fala, która poruszyła tłum szybko ucichła. W oczach starosty Rumkowskiego czaiła się apatia.

Uderzyby mnie, gdyby mógł. Braknie mu nawet siły do powiedzenia ludziom prawdy. Zwyciężyłem go.

Ernest Bibow mówił teraz szybciej. Mówił o sprawnej organizacji transportów, że rodziny nie będą rozdzielone, o zaopatrzeniu w jedzenie na całą podróż do nowej pra-

Ludzie spuszczały głowy i zaczęli wolno rozchodzić się.

„Kto to była ta głupia sta ruszka?” — zwrócił się Bibow do Rumkowskiego.

„Gospodyni z tutejszej kuchni”.

„A ten członek służby porządkowej?”

„Dawid Bryskin”.

„Poślecie go, starosto, w pierwszym transporcie. Kto mu kazał interweniować? Zwyciężyłbym ją słowem, a nie siłą. Wasi ludzie pragną spokoju. Ja im go gwarau-

Jeszcze tego dnia Dawid Bryskin dostał na rozkaz sta rosty dwadzieścia pięć kijów w więzieniu, do którego go wtrącono. Na drugi dzień, jako jeden z pierwszych, z rozkazu Ernesta Bibowa został posłany do Oświęcimia.

Doktor Synek zamieszkał w ubogiej izbie przy ulicy Młynskiej. Sypiał w łóżku, które zostawił Paweł Urba. W czasie wizyt lekarskich zaprzyjaźnił się z rodzinami Reimanów i Franzów i teraz, kiedy musiał opuścić mieszkanie na Bazarowej z chęcią przyjął go do siebie. Zresztą na krótko: wszyscy bowiem dobrze wiedzieli, że i stąd niedługo będą wysiedlać.

Kiedy Bibow ogłosił likwidację getta przed inżynierem Franzem stanął do rozwiązania ważny problem: opuścić Łódź i iść gdzieś w nieznaną — zastanawiał się — czy ukryć się w podziemnym bunkrze i z bronią w rękę walczyć. Wtedy mógłby chociaż umrzeć jak bohater. Trudno mu było podjąć ostateczną decyzję — chciał żyć i po zlikwidowaniu getta wyjść na wolność.

W bunkrze musiałby ukrywać się przez cały rok, do wiosny, aż do momentu wyzwolenia ziem polskich. I prze cień nie znał języka, panował tu większy terror niż w Protektoracie Czech i Moraw, który opuścił przed trzema laty. Był już za stary, aby mógł znieść trudy wielomiesięcznego ukrywania się w lasach tak jak podczas pierwszej wojny światowej. I do tego jeszcze jego żona chorowała: od kilku dni Elna Franz ślepa. Czy wytrzymała Ela — myślał — w tym ciemnym bunkrze przez kilka tygodni, a może nawet miesięcy? Czy mogłaby żyć w lesie i nie być ciężarem dla pozostałych?

Inżynier Franz, podobnie jak Reiman, który dowiedział się od niego o możliwości ukrycia się, nie wiedział dokładnie, gdzie znajduje się bunkier, w tej sprawie wiele razy poufnie radził się doktora Synka.

Również Ota Reiman miał podobno zmartwienia. Inusz niedawno jeszcze chorowała na katar płuc i teraz nie mogłaby długo żyć bez świeżego powietrza.

W końcu zaczęli wiazać wiele nadziei z życiem w nowym obozie; niech się stanie tak, jak los chce — mówili.

Doktor Synek też zdecydował się na opuszczenie getta. Wszystkich, bez wyjątku, me cyla tęsknota za rodzinną ziemią, chcieli opuścić to śro dowisko, z którym nigdy nie żyli się. W getcie czuli się jak na zesłaniu.

Wacherowie byli już od kilku tygodni gotowi do odjazdu. Kiedy przyszedł rozkaz opuszczenia getta bez wzruszenia pożegnali się z pozostającymi jeszcze mieszkającymi i odeszli do przejściowego obozu przy ulicy Czarnieckiego.

Inżynier Franz z żoną, tak jak Wacherowie, zginął w ko morach gazowych Oświęcimia. Ote i Inusz Reiman rozłączono już przy pierwszej selekcji na peronie dworcowym. Ani jedno z nich nie doczekało się wolności.

Doktor Synek po wielu miesiącach tułaczki po różnych obozach w maju czterdziestego piątego roku z wygodniami towarzyszymi nie doli, dotarł do Terezina, gdzie wybedzonego i wychudzonego uratowała misja Czerwonego Krzyża wysłana już z wolnej Pragi.

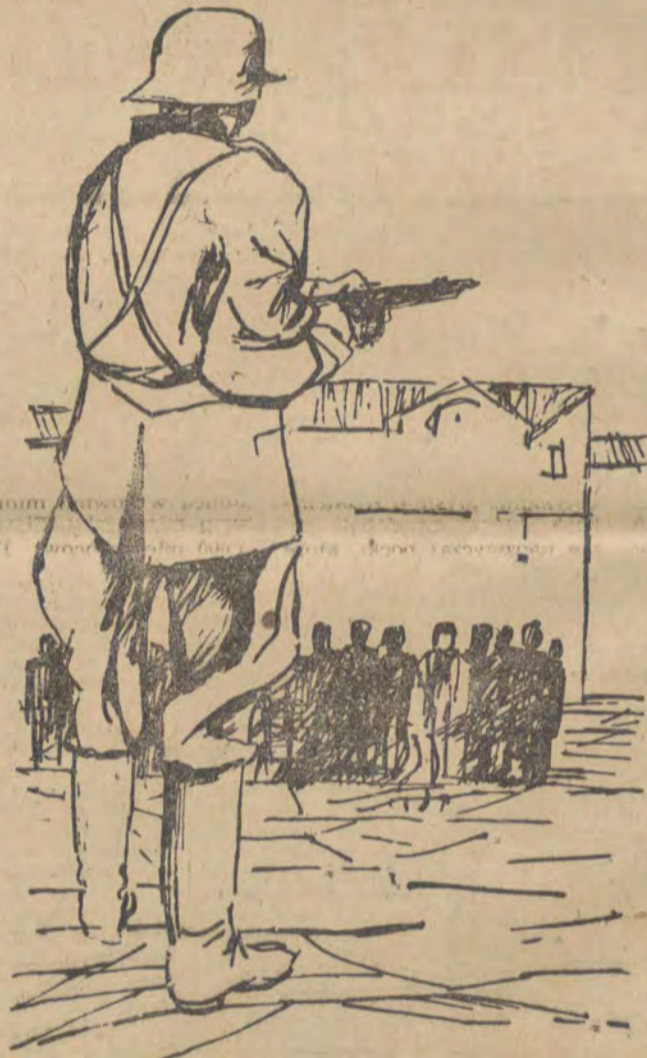
Jako jeden z ostatnich opuszczal łódzkie getto, udając się do Oświęcimia w końcu czerwca czterdziestego czwartego roku starosta Rumkowski.

1) Tytuł pochodzi od tłumacza — red.
2) Robotnicza organizacja żydowska

FRANTISEK KAFKA

LIKWIDACJA GETTA

TŁUMACZYŁ: MAREK REGEL



cy, że Rzesza da każdemu człowiekowi pracę, jeżeli może i chce pracować.

Uwierza mi — myślał — ale uwierzyłyby każdemu, kto by dzisiaj do nich przemówił. Wiedza dobrze, że nie innego im nie pozostaje do zrobienia, jak tylko uwierzyć.

„Spotkamy się wszyscy na nowym miejscu, przy nowej pracy. Meine Juden, ich werde euch nie verlassen!”

Nikt nie klaskał w dłonie.

Chaim Rumkowski sklonił głowę.

Bibow wszedł do auta i zaraz odjechał.

Starosta wszedł do kuchni. Riva Wiślicka leżała na ławce, była biała jak kreda, na jej ustach zaschło źródelko krwi.

„Umarła” — zapytał Rumkowski.

„Tak” — kiwnął głową Chaim Gotthajner — umarła”.

informacje i zaczepki

* Na wystawie rysunków satyrycznych radzieckiego czasopisma „Krokodyl” jaka eksponowana jest obecnie w Warszawie znajdujemy m. in. taki obrazek: sześć potężnych stoni ucieka w popiochu, a środkiem paradują dwa małe zajaczki z butelkami wódky w łapkach. Podpis: Co się stało? Znowu pijane zajace chuligania. Sytuacja z rysunku radzieckiego satyryka pasuje jak ulał do niedawnej sytuacji

na naszym podwórku. „Zajace” — chuligania pancerzyli się w najlepsze, a zdrowe społeczeństwo ustępowało z drogi. Ale wróćmy do wystawy. Po zakończeniu ekspozycji w warszawskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki kapitałne prace radzieckich satyryków przyjadą do Łodzi. Nie wiemy jeszcze gdzie wystawa zostanie zlokalizowana, ale już dziś polecamy ją naszym czytelnikom.

* Niedawno łódzki Zespół Pieśni i Tańca im. Harnama wystąpił po raz pierwszy przed publicznością w stolicy. Występ odbył się w sali kongre-

sowej Pałacu Kultury i Nauki a cały dochód przeznaczono na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. Niemal nazajutrz po występie harnamowcy wyjechali na parotyzodniowe tournée po Chinach i Wietnamie.

* Z okazji Międzynarodowego Tygodnia Studenta odbyła się w naszym mieście impreza pod nazwą „Jedność młodzieży świata w walce o pokój i powszechne rozbrojenie”. W uroczystości wzięli udział kierownik Wydziału Kultury KC PZPR tow. Wincenty Kraśko, rektorzy łódzkich wyższych uczelni oraz przedstawiciele łódzkich władz partyjnych

i miejskich. Liczne reprezentantami byli też słuchacze Studium dla Obcokrajowców w Łodzi.

* Przed kilkoma dniami gościł w Łodzi na zaproszenie kierownictwa Muzeum Ruchu Rewolucyjnego — znany pisarz i działacz robotniczy Lucjan Rudnicki. Pisarz od lat utrzymuje kontakty z Łodzią, gdzie pracował jako robotnik w latach 1898—1902. W czasie swego pobytu w naszym mieście Lucjan Rudnicki odwiedził zakłady im. 1 Maja oraz spotkał się z młodzieżą Szkoły Tysiąclecia im. Tekli Borowiak.

J. W.

Aż wstyd doprawdy się przyznać: po uroczach Tyrolu, jego gór, jego słońca, Salzburg nie rozkołysał mnie, jak oczekiwałem. Może zmęczenie podróży, nasyconie wewnętrzne widzielnym i zastyszczonym, a może deszcz — pada w tym mieście uporczywie, permanentnie — chmury obejmujące starą siedzibę niegdyś potężnych biskupów. Nie wiem. Skierowano mnie do zacisznego hoteliku. Paniienka z recepcji szepnęła mi, że jej pryncypał był impresariem Paderewskiego. No, jak ją ofuknął za to! Sprawował funkcje jednego z licznych sekretarzy. Mocno posunięty wiekiem pan, jeszcze bardzo krzepki, przystojny, ze śladami w twarzy i oczach wyrazistych przeżyć i faktów doskonałych, naburmuszył się z lekka, owinął w kokon nieufności, słowem, cedził, odważał — i poskapał mi informacją. Nie mówi po polsku — Paderewski dobierał swój sztab roboczy spośród obcych, by uchronić się przed niedyskreją polityczną ziemaków — odczułem natomiast, że poprzez obcowanie z Mi- strzem zaraził się jego politycznymi wirusami. Ilekroć przychodziłem po klucz, zaw sze podbiegał, i nie pytając, jak mi się tu wieszcie, drob- nił okruszynkami wspomini- ków. A to o szalonej pracowitości, o braku talentów handlowych i naiwności wobec ludzi (nie omieszkał dwukrotnie zaakcentować, że hoteliku nie nabył za pieniądze Paderewskiego), o namiętnym, egzaltowanym stosunku do Polski — i jak to w antyszambach pensjonatów amerykańskich i szwajcarskich odpędzał natrętów, autografowiczów, komiwoja- zerów, obieżyświatów i — damy. Wyraziłem zdziwienie, czemu nie spisał tych wszyst- kich historii. Owszem, naga- bywano, go, odmawiał. Ob- jaśnił, to nietaktownie zaj- mować się biografiami, tym bardziej, kiedy dotyczą ludzi tak wielkich.

Wypchnąłem na początek relacji to polonicum. A przecież godziło się zacząć od Mozarta. Tak. Bo to mias- to Mozarta. Padał deszcz, gdy wąskimi, ściemniałymi od kroków schodami wcho-

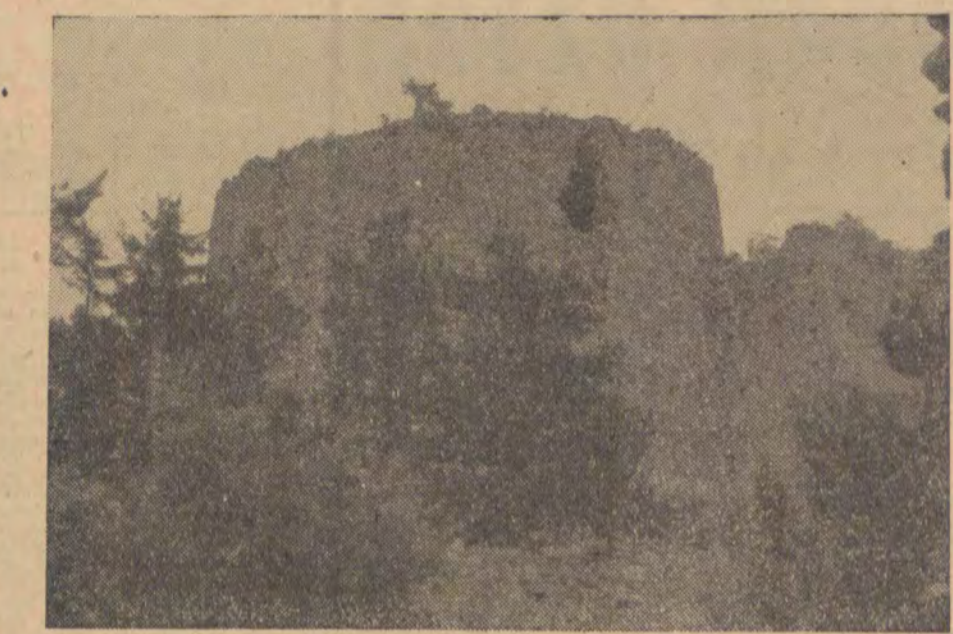
dziłem na pięterko domu rodzinnego. Tu jest uboga, ponurawa kuchnia rodziny Wolfganga Amadeusza, przy tym surowym stole spoży- wano posiłki, tym wąskim okienkiem musiał wpatry- wać się w szczerze zaskle- pione podwórce z rzemie- niami dzikiego wina. Kilka skromnych pokoików, a w jednym z nich, w rogu, sta- ło łóżko matki. Przystępując próg, nie można opanować wzruszenia — tu się urodził. Jest nieukończony portret olejny J. Langego, młodziut- ki Mozart cynober głowy rozjaśnionej ku dołowi na zgnilobrunatnej, gęsto zało- żonej plamie tła. Noc, z któ- rej wyzwała się plamień.

II. I wreszcie Burgenland. A tu już inaczej, inaczej. Co chwila natrafiam na coś bar- dzo swojskiego — to niziny — pola, łąki, jakaś plachta wody tzw. Lacken, miastecz- ka i wsie, z umiarem, skromnie osadzone w spo- kojnym krajobrazie, jest czas na oddech, na refleksję. Pod horyzontem snują się Alpy, z przeciwnej strony łagodną linią podchodzą Karpaty, a od granicy węg- ierskiej zaczyna się jezioro

czajem siada się tutaj na przyzbie, by przekazać sobie najświeższe nowinki. Ubiór biednawy, domy także nie- okazałe, a w winiarni, gdzie tego wieczoru pobitem „re- kord życiowy“ (proszę doro- wać, że nie ujawnię kwantu- tum!) — niezbyt chędogo i bogato. Hm, jakiś inny kraj. Wszystko się zgadza.

Burgenland nie jest zasob- ny w minerały, nie ma wielkiego przemysłu, boryka się ze znacznymi trudnościami ekonomicznymi. Proble- mem nr 1 jest zapewnić ludności stałą pracę — nad- miar siły roboczej (około 16.000 robotników sezonow- ych na ogólną ilość 200.000 mieszkańców) szuka zatrud- nienia w innych częściach Austrii. Skutek to i przesze- łości: Burgenland był przez kilka wieków prowincją węg- ierską, właściwie należał do kilku magnatów. Naj- większe latyfundia posiadała rodzina Eszterhazów, która po dziś dzień zachowała ra- bek potężnej fortuny, m. in. zamki. Feudalne czy półfeud-alne stosunki nie pozostały więc bez wpływu na obec- ne kłopoty.

Pod względem składu lud-



Burgenland — ruiny największego zamku.

ralnie, nie zapominamy o świetnych przodkach o muzeum Józefa Hayd- na, o Józefie Kainzu, wielkim tragiku Burgu. A w

kolei ja czuję się nietęgo. Między dwoma Węgrami, również gośćmi, a Austria- kami, zaczyna się wymiana zdań na temat narodowości

Teatrum zbudowano na tle murów ogromnego zamku w Forchtenstein, wydobywając poprzez architekturę i gó- rzysty charakter tej okolicy wewnętrzny sens patetycz- nego śpiewu z silnym patrio- tycznym leitmotiwem. Dra- mat nie należy do szczytów austriackiego teatru, po raz pierwszy spreparowano go na użytek sceny zmontowa- nej w wolnej przestrzeni. A jednak ta oprawa, zmiana formy inscenizacyjnej, współgra otoczenia, niwelo- wały niedostatki tekstu, u- skrzydlały go. Dołączył się do tego czas przedstawie- nia — cisza wieczoru z gwieździstym niebem, sku- pioną widownią w amfiteat- rze. Wszystko stało się nad- wyraz piękne — oto magia teatru przestrzennego. Był to dziesiąty cykl urządzany na tym zamku, od kilku lat wystawia się wyłącznie sztuki Grillparzera. W tym roku imprezę tę połączono z konferencją naukową po- święconą jego twórczości. Warto by sprawdzić w ten sposób i naszych dramatur- gów, np. Słowackiego czy Wyspiańskiego.

Relacji z tej podróży nie kończę efektywnym zam- knięciem ani uogólnieniem. Nic z tego tu nie będzie po- za kropką.

STANISŁAW KASZYŃSKI

KOŃCÓWKA (IV)

ro Neusiedler: jest monoton nie płytkie, fenomen biolo- giczny. Jedziemy wzdłuż brzegu, szuwary, sitowie, wi- klina, tysiące ptaków czyni- nią zgiełk, podnoszą wrzawę na całą okolicę. Na jesień i wiosną gromadzą się ptaki — wędrowniki. Miasteczko Rust: stolica bocianów i wi- na. Na każdym prawie bud- ynkun wielkie koła gniazd z bocianią rodziną, można je obserwować z bliska, są jak zwykle wyniosłe, zajęte swoim życiem, lecz niemal dotykalne. Myślę o Alzacyjny- kach, którzy upodobili so- bie nadzwyczaj bocki, które ponoć ostatnio coraz rzad-ziej ich odwiedzają, nie odwzajemniają miłości. Jak- by naszym chłopskim zwy-

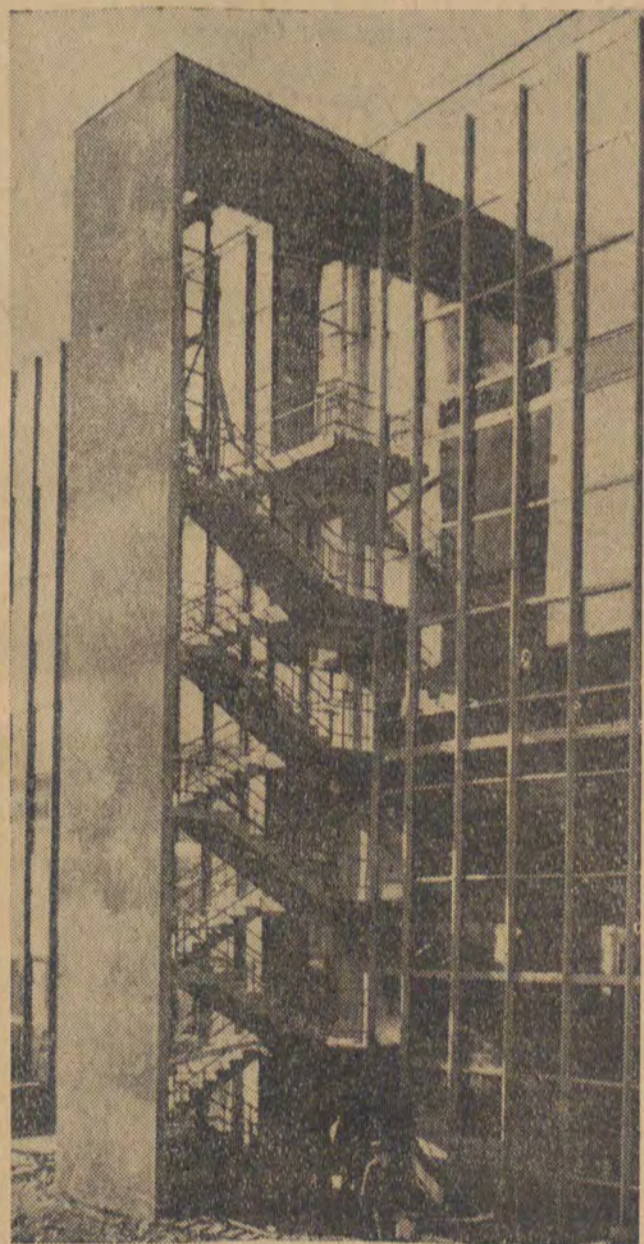
ności Burgenland stanowi również pewną osobliwość: mieszka tu, poza Węgrami, kilkadziesiąt tysięcy Chorwa- tów, potomków przymuso- wej fali osadniczej z XVI wieku, którą ściągnięto dla wyrównania strat biologicz- nych, jakie powstały w wy- niku najazdów tureckich. Zachowali pełną odrębność narodową, mają własne szkolnictwo i instytucje kulturalne.

Kraik jest rzeczywiście mały, ok. 4.000 km² ze stolicą w równie miniaturo- wym miasteczku, Eisenstadt, 7.000 mieszkańców. Dlatego mój miły opiekun, dr Fritz Zimmermann, może mnie podwieść do wszystkich cie- kawszych, zakątków. Natu-

Raidling, wiosce należącej niegdyś do Eszterhazów, przyszedł na świat Franci- szek Liszt. Do domku ro- dzinnego, zamienionego w muzeum, wpuszcza nas kustosz, tutejszy chłop. Zo- baczysz nas, odszedł od jakiejś krzątany w obej- ściu, ma jeszcze zgrzebny fartuch na sobie. Nie peszy go nasza wizyta, ten strój i tak to ubrany prowadzi wśród obrazów, sztychów, fotografii. Jest nieco skon- fundowany moją uwagą, że w gablocie ze zdjęciami przyjaciół i znajomych Lisz- ta nie ma podobizny Chopi- na. Obiecuje uzupełnić. Niezwykle piękny jest por- tret hr. Marii d'Agoult, przyjaciółki Franciszka. Z

Liszt: był czy nie był węg- ierskim kompozytorem. Spór, jak wiadomo, dawno rozstrzygnięty (był), ale znamienne są nie tyle pa- dające z pewnym afektem argumenty, co ich źródła i motywacja. No cóż, ujawni- ają się w formie zawoa- lowanej stare, zdawałoby się wygasłe już antagoniz- my, zwykle u osobników z granicznych terytoriów.

Ten spór z Raidlingu od- żył we mnie w czasie oglą- dania wspaniałej insceniza- cji dramatu F. Grillparzera „Szczęście i koniec króla Ottokara“. Właśnie w tej twórczości pojęcie „situacji granicznej“ w jej rozmaitych historycznych aspektach nar- zuca się bardzo wyraziście.



Powstaje nowa Łódź... Fot. W. Michałowski

NOWE MIESZKANIA - NOWE POSTAWY

Dokończenie ze str. 1

nas nie znalazł się tu przy- padkowo.

Rzeczywiście — otrzyma- nie mieszkania w osiedlu im. Władysława Bytomskiej, jed- nym z najładniejszych osie- dli łódzkich, związane było z zasady z jakimś wyróż- nieniem, przeważnie w za- kładzie pracy. Toteż nie mogą budzić zdziwienia dwa następujące fakty:

◊ primo — znacznie tu więcej niż gdzie indziej lu- dzi zadowolonych ze swo- jego miejsca pracy,

◊ secundo — ich prze- ciętne zarobki są wyższe (w śródmieściu 815, tu — 854 złote miesięcznie na każdego członka rodziny).

Jedno warunkuje drugie, a ów spłot zależny jest po- prostu od tego, że mamy do czynienia z dobrymi pra- cownikami. I oto następny szczegół, który nietrudno w- takiej sytuacji przewidzieć: większe „nasyconie“ gospo- darstw domowych tzw. artykułami trwałego użytku. Więcej tu pralek, motocykli, lodówek i telewizorów, acz- mniej radiodbiorników. Jest to niezmiernie charak- terystyczne dla dzisiejszego obywatela na dorobku — najpierw kupuje się telewiz- or, dopiero zaś później ra- dio. Zresztą „dorobkowy“ charakter społeczeństwa osiedla w jakiś sposób po-

twierdza się również w- fakcie, że znacznie rzadziej spotykamy tu własny sa- mochód osobowy niż w o- wym, pozornie „biedniej- szym“, starym rejonie. Jesz- cze nie zdążyli do tego dojść...

Obraz warto uzupełnić dwoma jeszcze, znamien- nymi rysami: ludzie z osiedla dużo poważniej są obciąże- ni splatami rat, natomiast zdecydowanie rzadziej tra- fiają się tutaj amatorzy „Toto-lotki“. Celowo zesta- wiam te momenty, niby nie mające ze sobą nic wspólnego. A jednak dają one w- wyniku jakby symbol: wie- le tu uporu i wiary we własne siły, mało zaś zbęd- nego marzytelstwa i wia- ry w cuda.

Przy wszystkim, co po- wiedziano, zastanawiający jest fakt, że mieszkańcy osiedla znajdują dużo cza- su na wypoczynek, 25 pro- cent pracowników umysło- wych i 40 procent — fi- zycznych deklaruje, że po- święca na ten cel „na ogół“ codziennie więcej niż 3 go- dziny, podczas gdy w sta- rym rejonie tylko po 5 pro- cent reprezentantów każdej z grup może sobie na coś takiego pozwolić. A przecież „osiedlowcy“ są bardziej aktywni w pracy, przecięt- niej więcej tu pracujących w- każdej rodzinie. Rzecz za- pewne w tym, że odpoczy-

nek odpoczynkowi nierów- ny. Ludzie mogą sobie w- pełni uświadomić, że wła- śnie w danej chwili odpoc- ywają chyba dopiero wów- czas, gdy mają po temu od- powiednie warunki. Nowe, wygodne mieszkanie takie warunki stwarza.

Tyle w zasadzie mogłoby wystarczyć dla określenia „specyfiki“ mieszkańca nowego osiedla. Wszakże so- cjologowie pokusili się rów- nież o odpowiedź na pyta- nie, jak ich rozmowy oceniają obecne warunki ży- cia. Czy polepszyły się, czy też pogorszyły w porówna- niu z okresem sprzed 5 lat. „Znacznie się polepszyły“ — odpowiada blisko trzecia część ludzi z osiedla. Nato- miast w starym rejonie ta- ką odpowiedź daje tylko 5 procent pracowników umysło- wych i 10 procent fi- zycznych. W następnej ka- tegorii odpowiedzi: „trochę się polepszyły“ również są duże różnice na korzyść osiedla.

Powstaje teraz kwestia — czy mieszkańcy nowych bloków identyfikują poję- cie „warunki życiowe“ z pojęciem „warunki mieszkaniowe“, czy też potrafią na te dwie sprawy spojrzeć rozdzielnie.

Mam wrażenie, iż umieją rozróżniać. Właśnie w o- kreście ostatnich pięciu lat zrobiono wiele, by pracow-

nik kwalifikowany, solidny i uczciwy mógł znaleźć w- pracy zarówno satysfakcję moralną, jak i zadowolenie materialne. Ci ludzie to czują. Chyba tym również tłumaczy się, silniejszy niż gdzie indziej, ich optymizm co do możliwości dalszej poprawy warunków w- ciągu najbliższych pięciu lat.

Nie zamierzamy bynaj- mniej sugerować naszym artykułem, że w Osiedlu im. Władysława Bytomskiej mieszkają wyłącznie ludzie idealni, zaś w starych re- jonach Łodzi — wyłącznie niepełnowartościowi.

Zależało nam jedynie na podkreśleniu pewnych ten- dencji, bardziej „zageszczo- nych“ w nowym osiedlu, niż gdzie indziej. Tendencje te są dobitnym świadectwem kierunku zmian, jakim po- lega dziś nasze społeczeń- stwo.

JULIAN BRYSZ

*) Ponieważ badania nie zostały jeszcze podsumowa- ne, dysponujemy tylko wyni- kami procentowymi, bez omówień i komentarzy. Na tej podstawie przedstawia- my nasze własne refleksje.

Jeden dzień

Z

prokuratorem

Dokończenie
ze
strony 1

doznaję do znajomej, nad moją rze, czy też gdzie indziej. Groźnie falował tłum, mało do linczu nie doszło. Bo już obok w sąsiedztwie ktoś ubił staruszkę, nie wiadomo kto. Ale zabójczyńi męża nie wpadła ani w szok ani w histериę, wcale się nie trzęsła ani nie dygotała. Patrzyła na tłum drwiąco, jakby nieobecna duchem, obecna tylko ciałem. Przez dwa lata deptała, wchodząc do mieszkania, po zwłokach męża. Jej kołnierz też deptała, tylko ten pozostał jej wierny. Pisał do wieźni „werterowskie” listy. Są zdumiewające. Nie jest pewne, czy którakolwiek z pięknych dam Piotrkowa otrzymuje listy przepelnione tak zadziwiającym uczuciem. Może dlatego ta więźniarka w drelihu, dawno już przyszła do siebie, cienia na niej żalu pobożnego, czy też skruchy...

Albo ta elegancka pani, która przecięła miasto szybkim autem z jednego krańca na drugi. Zatrzymała się przed stawem, gdzie jarzębina rosła smukła, wesółta. Potem starowina jakiś ciekawy przyczapał nad wodę, zajrzał tu i tam widzi, że zawiniątko wypływa, w tym zawiniątku niemowlę. Szperaj teraz prokuratorze za elegancką panią w eleganckim aucie, szukaj paniusi jak kraj długi i szeroki.

Zerknął na gospodynię, która wciąż czekała. „Będziemy szukać pani męża — obiecał. Jest przecież zobowiązany płacić alimenty na dzieci”.

Kto następny? Jeszcze jedna kobieta, jest tu po raz drugi. Pierwszy raz przyszła ze skargą. Mąż bil ją codziennie. Rano, gdy wstawała, bil wieczorem, gdy wracał od kumpi — hulaków. Lobuz stanął wreszcie przed sądem: skazano go na ileś miesięcy z zawieszeniem. Bodajże już następnego dnia zwinął



manałki i tyle go widziano. Wyparował. Przyszli natomia listonosz, wsunął kobiecie kwit urzędowy do ręki. No cóż, jej mąż przegrał sprawę w sądzie, został więc skazany na zapłacenie kosztów sądowych, które były wysokie. Nie ma męża. Nie nie szkodzi, zapłaci żona. „Zitujcie się, z czego mam zapłacić?” — wołała. Przyszli komornik, zajął radio, zajął stół i krzesło. Więc kobieta po raz drugi przyszła do tego pokoju, pochlipuje i niczego pojąć nie może. Nie dość, że tyle przeżyła, to jeszcze jej radio zabierają i krzesło jedyne. Lobuza nie ma, dzieci zostały, a teraz nawet stołu ma nie być? To ona po to występowała ze skargą do sądu.

Prokurator słucha bez zmrużenia oka. Wreszcie ujmu-

je słuchawkę, dzwoni do komornika. Dzwoni z obowiązku, chociaż wie, że komornik zasłoni się prawem, zasadą małżeńską. Komornik jest w porządku: prokurator o tym wie, dzwoni by zyskać na czasie, uchylić jakąś furtkę.

To ci dopiero niespodzianka. Do pokoju wszedł pewnym siebie krokiem najbardziej chyba osławiony w mieście awanturnik. Taki hultaj, czyżby nabrał wreszcie rozumu i doszedł do przekonania, że to jawny nonsens, trawić wiosnę życia w celach więziennych? Młodzieniaszek skarży się, że puka, stukta, ale nikt otworzyć mu nie chce znając go tu przecież wszyscy jak ten zły szeląg, nikt mu nie chce dać zajęcia. Więc mo-



że by pan prokurator pomógł? Zadzwonił do któregoś z tych ważnych dyrektorów? Może do Fabryki Sprzętu Górniczego, on chętnie by tam poszedł wyuczyć się na montera...

A potem same prawie kobiety, istny korowód, prokurator siedzi, notuje, uszy jego napelniają się wciąż nowymi skargami, że ktoś ukradł, że ktoś pije, inny bije, że ktoś świnię trzyma w kuchni. Sprawy małe i duże, tragiczne również...

Do gabinetu wtargnął chłop w wytartym kożusku. Interwieniuje, gdyż odebrano mu prawo jazdy. Prokurator odpowiada. „Jeśli czuje się pan pokrzywdzony, to proszę wnieść sobie adwokata. Chyba pana stać na adwokata...”

— Pewnie, że go stać. Chłop? Ależ to milioner, magnat wieloszlakarniowy, krezus z Przyglowia, władca iluś tam szklarni potężnych.

Chłop? Niech będzie chłop, ale taki, że jak skinie to cały tuzin mecenasów uczonych pogna co sił w nogach na posługi.

W ogóle wykroczenia i wypadki drogowe stają się zwiolna problemem.

Lekarz z miasteczka S... pisał: „Błagam o pomoc, niech pan do tego nie dopuści, żeby oni wyeksmitowali moją żonę z mieszkania...”

Lecz jak pomóc, skoro mieszkanie było dla lekarza, a lekarza w gromadzie nie było. Siedział w kryminale. Pędził jak szaleniec szosą ciemną, wpadł na drzewo pod Piotrkowem. Wyszedł bez skazy. Gdy już załatwił, co jak sądził, załatwić był powinien, nadjechali milicjanci. Jeden z nich zajrzał do auta. Coś mu się tam nie spodobało przy kierownicy, bo spytał — „Czy jechał pan sam, panie doktorze?” Tak jest, byłem sam — padło w odpowiedzi. Milicjant odszedł, potem wrócił, lawirował, pochylił się nad szybą, spytał ponownie o to samo. Usłyszał jeszcze raz kategoryczne zaprzeczenie. Raptem milicjant uchwycił jakby dalekie westchnienie. A może to pies przeleciał? Noc taka, że oko wykol, ciemno, glucho, nigdzie żywej duszy. Milicjant przeskoczył rów, zagłębił się w kartoflach. Po chwili wydał okrzyk zdumienia. W kartoflach leżał człowiek, nieprzytomny, zakrwawiony, z rozbitą czaszką. Wyjaśniło się. Lekarz z obawy przed komplikacjami, wołał wywleć ciężko rannego towarzysza po-

WIERSZE MŁODYCH

Poeeci, których dziś przedstawiamy, nie są debiutantami. Niektórzy z nich drukowali już swe wiersze w czasopiśmie (także w „Odgłosach”), jeden — Mieczysław Szargan — jest autorem dobrze przyjętego tomu. Nie łączą ich wspólne przekonania artystyczne i jedna poetyka — choć uważny czytelnik dostrzeże zapewne podobieństwa w manierze (nie bójmy się tego słowa) pisarskiej — nie tworzą więc grupy artystycznej. Są młodzi i to ich łączy. Łączy ich także teren, na którym dyskutują

problemy literatury i swoje wiersze: są członkami Klubu Młodych Pisarzy, działającego przy Związku Literatów Polskich. Start młodego pisarza nie jest dziś, w roku 1963, sprawą łatwą, przeskody są liczne i trudne do pokonania. Prezentując te wiersze, nie chciałbym jednak stosować taryfy ulgowej. Młodość w literaturze nie jest naszym zadaniem okolicznością tagodzącą. Jest szansą, którą trzeba wykorzystać. Jak ją wykorzystują młodzi poeci łódzcy, zechcą nasi czytelnicy sami ocenić.

J. M. R.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

ZASTYGANIE

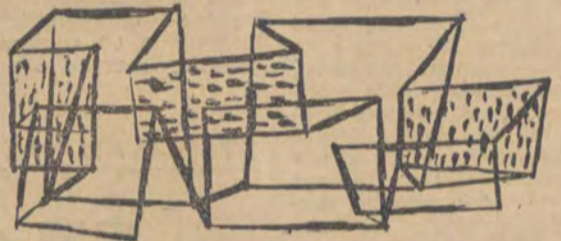
dopalone w bajorku — że tylko popiół progę na klamkach żabki rąk mokrych na udach języki suche jak file

mury obaliły światło — odeszły za mury głósy wypalone w kształt martwy głos spasiony zielenią wchodzi w ucho glucho

noże w ciemnościach jak porywiste rzeki nieprzebrana wyspa chleba nieogarniona woda szarej ceraty

za drutem napiętym na cieniach parują trawy jak zagrzane konie

karmi się biała lampa kamienia.



JANUSZ KRÓLIKOWSKI

DO MATKI

Twoją starość Matko mógłbym dźwignąć przeciw przyszedł kat toporem uczesał Twe włosy a z oczu wypadło zwierciadło zmęczone teraz zimne wiatry puste krzesło niosa

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Przeczuć czas — to być księciem pieśni.

Kto niesie głębię z leśnej? Leśni?

Ptakowie czerwcowiej rosna snom.

— Kto leśni?

Bardów czy barci źródło-pieśni? — Z boru głębia rośnie w głąb.

Daj, (dąbrowo), ać ja pobrusze... słowem...

Jak wędrowiec sen pogański pelza nad ruczajem,

Człowiek mu się zdaje,

Czy on człowiek-ptakowie? Czy sobie się zdaje?

Dąb leniwie wyciąga pazur korzenia,

W sen wbiła... Ja — sen!

— Ze strumień w pióro rośnie świetliciej.

— Na dno pierwsze słońce splywa...

... a ty poczuj.

HALINA SOBCZAKÓWNA

PRZEMIJANIE

najmocniej czuję płonące liście gdy spieszą by wszystko powiedzieć o sobie przed przeniknięciem tajemnic czarnej urodzajnej wtędy razem cierpko obwieszczamy światu swe przeznaczenie zapowiedź wybuchu zieleni przyszłej pulsującej

EUGENIUSZ FOERSTER

MÓJ OGRÓD

Oto mój ogród
Moje grusze siliwy jablonie
Oto owoce nurzające stopy w próchnicy Ziemi.
Bierzcie i jedzcie
Dzieci owadów wyglodniałe larwy
Oto mój majątek.
Stań słuchaj mlaskania
To gąsienica Pazia łamie zęby
Na pestkach cytryny
To potomek Admirala zżera
Lupiny pomarańczy.
Tu w futrzanych wylinkach
Poczwarki trawia kolce kaktusów.

Tam koły zgrzyżają resztki
Cwierkającego ptaka
Polykają pióra kości dziób
Nie myślisz o ptakach gdy pieścisz kota
Nie myślisz o myszach
Nie czujesz bólu szczura
Gdy pieścisz kota
Naciskasz starter wspaniałomyślności
Włócząc dłońmi błyszczące włosy
Rozgrzeszam żółte ślepią
Odwracające się z obrzydzeniem
Od kolorowych gąsienic.

JERZY JARMOŁOWSKI

WILKOŁAK

kazali na nią patrzeć
a małym chłopcom dotykać
poem długo myłem rękę
nie plakałem kiedy podpalił
nigdy nie widziałem nagiej dziewczyny
miała drut kolczasty we włosach
potem ludzie mówili
szeszenia ma zle oczy
może by tak szeszenia zastrzelił
a może by utopił

ROMAN GORZELSKI

STAROŚĆ

Żeby być w śróde
trzeba wtorek
ulożyć jak kładkę

tak się wchodzi
do tego pokoju
wpatrzonęgo
we mnie

dróży w redliny, niż okazać pomoc lekarską, ludzką. Gdyby nie sprostregawczość milicjanta ranny nie przeżyłby nocy.

Prokurator pomógł, nie pozwolił wyeksmitować żony lekarza.

Lecz jak postąpić z szoferem ciężarówką, którą zatrzymał patrol milicyjny na ślaskiej autostradzie?

Ciężarówka wiozła słup niewiadomego pochodzenia. Milicjant skoczył więc z wawo do szoferki i rozkazał — „Jedźmy na posterunek!” Pojechali. W centrum Piotrkowa, przed skrzyżowaniem szofer przystanął. Miał teraz zawrócić w prawo pod ostrym kątem, a że wóz stał przedem do chodnika, kierowca nie wiedział co się dzieje z tyłu na

szosie. Zapytał więc milicjanta, który siedział obok — „Droga wolna?” — Milicjant wychylił się na ulicę i mruknął — Tak jest, wolna. — Szofer brał już zakręt, gdy z tyłu nadleciało auto osobowe, wyrznięło w bok ciężarówkę, odbite uderzyło w dziecko stojące na chodniku. Kto odpowiada za śmierć dziecka? Biegły z Piotrkowa orzekł, że kierowca ciężarówki nie ponosi winy. Biegły z Łodzi orzekł, że to kierowca jest winien.

Co ma robić prokurator. Wydać nakaz aresztowania?

Prokurator waha się. Wprawdzie gdy ktoś tam coś przeskrobie, zaraz mu grożą podwładni — Uważaj, bratku, bo cię oddamy do prokuratora, — i brzmi to jakby delikwenta

oddawano paszczy smoka mitycznego. A prokurator smokiem nie jest, nie jest też mieczem ostrym, przyłożonym do głowy każdego. Przesłuchuje w ciągu dnia 5-6 osób, lecz tylko 2 z tych osób trafiają przed sąd. Ileż to razy wystarczy przestroga, rozmowa, upomnienie. Prokurator nie działa na osłep, jego funkcje nie ograniczają się do kar i represji.

Więc co robić z szoferem? Zobaczymy, jego sprawa do stała się w ręce najwybitniejszych speców w Warszawie, ma przecież wagę precedensu. Niech wpierv oni się wypowiedzą.

Kto następny, kto następny... Korytarz z wolna pustoszeje. Ściemniło się, skończył się jeszcze jeden dzień wior-

kowy, dzień kłopotów małych, dużych. Także tragedii.

JAN BABIŃSKI



GOLEM i GLINA

Sztuka Zbigniewa Nienackiego „Golem” budzi różnorodne wrażenia i refleksje. Smak jej odczuwa się w pełni dopiero po wyjściu z teatru: go ryz. Dlatego balbym się ją nazwać sztuką optymistyczną.

Ilość trupów umiejętnie zbiegła rana po całym hotelu nie świadczy jeszcze o pesymizmie sztuki, zaś beztroška i paradoks o jej optymizmie.

Oczywiście, uważny widz nie da się na te pozory nabrać; najwyżej spróbuje według tego określić tak zwany gatunek sceniczny widowiska. „Golem” czyli „strach metafizyczny”, jak modne, uczone i artystycznie określa się utwory przepojone współczesną myślą katastroficzną i brakiem nadziei na jakiegokolwiek sensowne wyjście z sytuacji atomowej, oto tonacja, z której pod koniec utworu Nienacki próbuje wydobyć akcenty optymistyczne, a zatem przewyżczyć ten strach.

Nacisk konwencji jest tak silny, że aż zniewala treść. Nienacki posiadając niewątpliwą temperament dramaturgiczny o zacięciu politycznym ulega wszelako przemożnemu naciskowi i jak gdyby wzorcowi dramaturgii współczesnej takich potęg światowych jak Beckett, Dürrenmatt czy nawet Sartre, z którego „ducha” zrodził się niemalże kawał egzystencjalizmu scenicznego, z którego „Godot” i „Fizycy” są dalekim rodowodem filozoficznym. Trudno czynić z tego zarzut Nienackiemu — nie on jeden i nie on pierwszy. Ale konsekwencje: osoba dramatu jako symbol, jako znak umowny dramatu czasu jest właściwie pozbawiona uczuć ludzkich w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Stąd jej funkcja (osoby dramatu) ogranicza się do ilustrowania zgoła bezmiejscowego przeżywania. Stąd na pewno nieprzypadkowe, ale nie zawsze do końca uświadomione efekty groteskowe, a nawet komiczne (gdymakabra jest traktowana ja-

ko człon ilustracji dramaturgicznej, z tą samą uczuciową powagą czy obojętnością, co wypicie szklanki wody, oczywiście nie zatrutej). A „Arturo Ui” Brechta — sadzę, że też nie obojętny dla Nienackiego — postacie również spełniają rolę symboli lecz nie odbarwionych uczuciowo — raczej zwyrodniałych. Potworna wierzliwość ludzką przydaje im historię.

Nienackiego inwokacje do historii są raczej marginesowe, okazjne i zatem komiczne fragmenty sztuki opierają się (chwilami i przy pomocy reżysera) głównie na makabrycznych sytuacjach, których inne osoby dramatu nie zau-

ważają, a jeżeli zauważają, to w sposób nietypowy dla reakcji ludzkich. Śmiech na wiodni jest tu raczej produktem ubocznym obranej konwencji. Szef recepcji — Bóg — świadek czy Bóg — inspirowany jest znakomicie obojętny bowiem na równi z autorem, jest bezzilny; „Nie ma bowiem ucieczki, nawet na drugi koniec świata, gdyż ziemia jest okrągła i jej koniec jest tam gdzie początek” — (cytuje z pamięci).

Golem — symbol w trzech osobach krąży nad światem, czasem w postaci odrzuconca, a wiadomo, co w odrzuconcu

można przewieźć, czasem krąży we krwi, gdyż zlo tkwi w człowieku, a czasem jest już konkretnym wariatem, nie tym emerytem, baronem De Lux, lecz młodym, pełnym świeżych nadziei i do tego jeszcze opętany przez kobiecie, co w sumie znaczy: uważajcie ludzi! Człowiek ma skłonność do zbrodni. Posiada potężne narzędzie zwierzęcia. Jeżeli zaś szaleniec (Inwokacja: Hitler, Mussolini i inni tacy) dorwie się do... pewnie do Golema — odrzuconca, dyktatury atomem czy czymś takim, jeżeli w to wszyśle, wmiejsza się jeszcze kobiecia, to — gore nam ludzie. A Golem — glina? Nic waż-

nego. Platonskie odbicie idei w materii. Punkt wyjścia do poważnych rozważań o życiu. A rozważania na pewno są poważne; więc że zagadnienie jest takie i tak w rzeczy samej postawione, pozor ballady nie uczyni sztuki groteską, ani tym bardziej balladą. Nie pomoże śpiewany prolog ani epilog o tym hotelu, gdzie trupy się walają a służba z wdziękiem, dowcipnie i mądrze eksportuje te nieważne zwłoki w czas gnicia i przemian materii pod baldachimem gustownych grobowców.

Nienacki przewyżczył skrajne konsekwencje konwencji; chwycił za wypróbowany i nie zawodny humanizm. Unosi ponad żywe marionetki kurtyzane, uczulowca ją nad podziw; ona nie chce zostać szpiegiem, ona chce uciekać. Krąg zostaje przerwany. Mechanizm zepsuty. Golem jest tylko glina. I co dalej? Mechanizm stanął. Hotel przestał być wytwórnią nieboszczyków. I co dalej? A no optymizm.

Jest to niewątpliwie optymizm jeżeli założymy tezę, że w jednym człowieku zwyciężyło dobro, w drugim człowieku dobro, w trzecim dobro i tak dalej, i tak dalej. Ale co dalej?

Ona ucieka. Kurtyzana. Więc tylko ucieka. Ucieka, bowiem nie chciała takiego życia.

Ten niewątpliwie symboliczny akcent, a zatem o walorze równoważnym całej sztuce trzeba rozumieć tak, jak byc może życzyłby sobie autor: strach przewyżczył! Wydało się jednak, że walor pesymizmu zawarty w sztuce, w jej klimacie i stwierdzeniach nie jest tak łatwo odwracalny jednym gestem niezbyt zręczną logicznie przekonywającym. Dlatego „Golem”, gdy się wyjdzie z teatru i później — ma smak gorzkości, dlatego nie napawa zbytym optymizmem, nakazuje raczej trzeźwość.

Niebezpieczeństwa są współczesne, a proces kształtowania człowieka długi i żmudny. To jest chyba prawdziwsze w odczuwaniu i odbiorze tej sztuki, której żywość i pomysłowość daje rangę dyskusyjną pozycji. Niewątpliwie dramatyczny sprawia, że pomimo pewnych niedostatków w zamierzonym dyskursie filozoficznym nie drażni a raczej pobudza, podnieca do myśle-

nia i niekiedy bawi; to ostatnie z reżyserii nakierowanej raczej na odbiór, na zręczność i lagodzenie „strachu metafizycznego”, jakkolwiek z lekkiem przegięciem ku farsie czasami zbyt widocznej. Wstawki balladowe oraz „kinematograficzne”, rozegrane z taktownym umiarem, tym bardziej, że potrzebne (te drugie) przy zmianie dekoracji, która atmosferę diwności w prostej linii podkręca. Nie jest zbyt oszczędna, ale wiadomo: symbol na symbol. Kukły znakomite; gra aktorów bardzo wykonawna — w moim przekonaniu — może tylko niekiedy zbyt impulsywny, że aż panicznie strach przed odrzuconcem w geście ludzi nieobeznanych (?) ze zdobycami XX w. — ale obsesja jako Golem krążyła, więc być może... Reinkarnacja okazała się łatwą czynnością na scenie: Hanna Bedryńska z właściwym sobie sexem przelastowała i duszę i ciało w niezbyt wprawdzie odległej sfery, lecz jakże wdzięcznej, a co najważniejsze — przekonywującej. Jadwiga Siennicka, dobra sekretarka, szczególnie, gdy domagała się małżeństwa; później prawdziwa kurtyzana bez fałszu w grze stonowanej, Irina Małkiewicz swobodna, budząca zaufanie i jako szpieg i jako kurtyzana (zaufanie artystyczne). Mężczyźni prawie jak jeden mąż dostosowali do kobiet. Butrym lepszy w roli De Luxa, chociaż chwilami za mało demoniczny w mimice, Gamski z dużym wdziękiem odegrał wariata. Chociaż jako morderca był zbyt lagodny. Kaznodzieja i szpieg — o jakże duże przeszkoki: Ryszard Sobolewski.

W ogóle mężczyźni mieli odleglejsze metamorfozy. Portier, Tadeusz Sabara, bardzo poprawny i sumienny — wyczuwa się dobrą szkołę. Kierowca Marian Wojcik popisał się nieskazitelną dykcją i zapewne byłby zupełnie dobrym kaznodzieją.

„Golem” w Teatrze Powszechnym dobrze wysławiony — tak myślałem, być może słusznie.

P. S. Przepraszam, że nie opowiedziałem fabuły sztuki, sądziłem bowiem, że Czytelnicy, którzy byli w teatrze pamiętają ją, a ci, którzy jeszcze nie byli, wolą zapewne poznać ją z relacji aktorów.

Państwowy Teatr Powszechny. Zbigniew Nienacki „Golem”. Sztuka w 2 aktach, reżyseria R. Sykała, scenografia: M. Stanczak.



Tadeusz Sabara — portier — pan Bóg

Foto: G. PUCIATO

EUGENIUSZ ZELENAY

nie tylko **madre**
ale **zdrowe** i **silne**

Artykuł dyskusyjny o blaskach i cieniach rozwoju kultury fizycznej i sportu w szkołach wywołał zainteresowanie. Odezwali się pierwsze telefony. Nadeszły pierwsze głosy w dyskusji. Dziś zamieszczamy wypowiedź dyrektora mgr E. Zelenaya, wielkiego przyjaciela sportu szkolnego, który swą szlachetną postawą i niezmiernym entuzjazmem dla WF i kultury fizycznej doprowadził do tego, że jego liceum przoduje pod względem usportowania uczniów w naszym mieście.

Wyjaśniam, że dane do artykułu „Nie tylko madrze, ale zdrowo i silnie” otrzymałem z Kuratorium. Z. S.

Redaktor Zbigniew Skibicki poruszył w ostatnim numerze „Odgłosów” niezwykle ważne zagadnienie wychowania fizycznego i sportu na terenie naszych łódzkich szkół. Mnie jako dyrektora liceum, któremu udało się we wspólnym przedsięwzięciu z dyrekcją średniej w Łodzi zdobyć pierwsze miejsce i piękny puchar przechodni, ufundowany przez wielkiego entuzjastę i protektora sportu szkolnego p. Kuratora Okręgu Szkolnego Łodzi, mgr M. Woźniakowskiego, wypada podziękować za pochlebną wzmiankę i zdradzić parę szczegółów odnośnie tego, jakimi drogami udało się Liceum im. A. Mickiewicza osiągnąć ten wybitny sukces.

Istniejemy jako liceum dziewiąty rok i obecnie piąty rocznik naszych uczniów klas XI przygotowuje się do matury. Liceum mieści się w jednym z najpiękniejszych i najnowocześniejszych budynków szkolnych Łodzi. W r. szk. 1955-56 mieliśmy tylko trzy klasy ósme, z tym, że co roku przybywały nam wyższe klasy, aż w r. 1959 czterdziestu czterech absolwentów za-

śladko do pierwszego w historii szkoły egzaminu dojrzałości. W tym też roku podjęliśmy szlachetną walkę w dziedzinie sportu z całą plejadą szkół starszych od nas, mających za sobą długie pasmo triumfów i zwycięstw. My mieliśmy „tylko” chętną i zdolną młodzież oraz zapal i entuzjazm wychowawców fizycznych: mgr Andrzeja Bogusza i dzielnego mu sekundującego koleżankę — Jadwigę Karwowskiej i Stefanią Jasińską. Cały zespół nauczycielski naszego liceum wykazał niezwykle życzliwą i pozytywną postawę wobec sprawy usportowania naszej młodzieży. W naszym pokoju nauczycielskim podczas przerw, przy żywej i namiętnej czasami wymianie zdań i opinii o poszczególnych uczniach, nigdy nie padło tak charakterystyczne dla tradycyjnej szkoły stwierdzenie: „Głupi, bo sportowiec.” W 1959 roku zdobyliśmy mistrzostwo Łodzi w siatkówce męskiej, w 1960 wicemistrzostwo w koszykówce męskiej, 1961, 1962 i 1963 rok przynosiła bezapelacyjnie zdobyte tytuły mistrza Łodzi w koszykówce i czołowe miejsca w strzelaniu dziewcząt i chłop-

ców w zawodach o „Srebrny Muszkiot”. Piętnastoletni młodzik, Paweł Dawidczyński, zdobył dwa tytuły mistrza Polski w Augustowie 1959 rok w jeździe szybkiej na lodzie. W r. 1961 ośmiu chłopców naszej szkoły otrzymało dyplomy za zdobycie mistrzostwa Polski w drużynie MKS — MDK w koszykówce młodzików. Poza koszykarzami jak Kargul, Rumpf, Słomczewski i Januszewicz wychowaliśmy dobrych lekkoatletów, doskonałych piłkarzy jak Orzykowski, Dawidczyński, Krakowiak; tenisistów — Marciniak, gimnastyki — Bieniarz i wielu, wielu innych. Od dwóch lat rozgrywamy regularne spotkania w koszykówce z mistrzem Górnego Śląska, bratnim Liceum im. A. Mickiewicza z Katowic. Po rozegranych dotąd czterech spotkaniach: dwóch w Łodzi i dwóch w Katowicach prowadzimy w stosunku 3:1. Dużą uwagę zwracamy też na „fair play” i bezwzględnie przejawy szowinizmu i zacietrzewienia. Zawodnik, który by sobie pozwolił na niewłaściwe zachowanie, choćby był najlepszy w zespole, wie, że jego wychowawca nie zawaha się przed natychmiastowym wycofaniem go z gry. Może dzięki temu nie mamy zmanierowanych „gwiazd”.

Przy głębokim i silnym nurcie życia sportowego szerokim frontem walczymy na innych odcinkach współzawodnictwa młodzieży. Rokrocznie kilkadziesiąt uczennic i uczniów bierze udział w ogólnopolskim konkursie recytacji i chóru, od pięciu lat zdobywa wyróżnienia na festiwalach śpiewaczych, krajowicy przed trzema laty zdobyli pierwsze miejsce w Łodzi a w bież. roku szkolnym brali już udział w czterech rajdach zdobywając dyplomy i odznaki. Uczestnicy rajdu do Bolesławca w woj. wrocławskim przywieźli oprócz dyplomu za zajęcie III miejsca w skali międzywojewódzkiej list pochwalny, w którym Bolesławickie Zakłady Materiałów Ogniotrwałych piszą: „Serdecznie dziękujemy za bezinteresowną obywatelską pracę, która w dniu dzisiejszym była bezcenna gdyż dzięki niej uniknęliśmy dodatkowych opłat za prze-

trzymanie wagonów pod załadunkiem szamotu dla hut”. Starte do krwi ręce uczestników rajdu świadczą o tym, że te ciepłe słowa nie są tylko zdawkową pochwałą.

Obóz — brzygada żniwna ZMS — zdobyła w lecie bież. roku czołowe miejsce w Łodzi i jako nagrodę z rąk p. Kuratora i przedstawicieli ZMS otrzymała piękny aparat radiowy. Związek Młodzieży Socjalistycznej w naszym liceum gromadzi w swoich szeregach na 433 uczniów w klasach IX—XI 250 członków, czyli około 58 proc. ogółu młodzieży.

Pierwsze w Łodzi szkolne koło Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich powstało w naszej szkole i dzięki niemu gościliśmy w murach naszego liceum tak płomiennych patriotów jak Maria Zientara-Malewska poetka Warmii i Mazur, dr Władysław Gębik — dyrektor polskiego gimnazjum w Kwidzynie, więziony przez 5 lat z górą w obozach hitlerowskich, redaktor Jan Wawrzyniak z Opolszczyzny i młodzież Ziemi Opolskiej.

Obok tej wielostronnej działalności, która umożliwia młodzieży wyżyć się w najbardziej odpowiedzialnym jej kierunku notujemy bezustanny postęp w wynikach nauczania. Niech o tym powiedzą obiektywne cyfry. Procent promowanych w ostatnich czterech latach wynosi kolejno: 80,2, 86,6, 88,2 i 90,9 proc. Wskaźnik bezwzględnej sprawności szkoły w dziedzinie nauki wynosi w ostatnim roku 80 proc. Jak z tego wynika rysunka zasada: „Mens sana in corpore sano” znajduje w naszej szkole pełne potwierdzenie. Duże zrozumienie dla sprawy wychowania fizycznego młodzieży znajdujemy u rodziców. Nasz Komitet Rodzicielski nie żałuje pieniędzy na sport oraz dotacje dla Szkolnego i Miejskiego Kola Sportowego, a Prezydium nierazdo w komplecie razem z profesorami obserwowało spotkania sportowe młodzieży.

Reasumując chcę stwierdzić, że nasza młodzież jest dobra i zdolna, a tam, gdzie wychowawcy nie żalują

własnego trudu i czasu wychodzą naprzeciw jej zainteresowaniom, zawsze będą wyniki. Muszę tu podkreślić, że wśród czołowych sportowców naszej szkoły procent dobrych uczniów jest wyższy niż przeciętna szkolna.

Niestety, blaskom towarzyszą również cienie. Z dużą troską, mimo poważnych osiągnięć patrzymy w najbliższą przyszłość. Największą przeszkodą w utrzymaniu dotychczasowego stylu pracy sportowej jest istniejąca w naszej szkole już drugi rok dwuzmianowość. Praktycznie biorąc kol. kol. Jasińska i Bogusz z bólem serca muszą rezygnować z wielu najlepszych nawet swoich zawodników i zawodniczek, którzy mając na drugiej zmianie lekcje do godziny 20, nie mogą być wykorzystani na treningach i zawodach. Mimo więc ich pracy i wysiłków, mimo poświęcenia i ofiarności mając nas zapewne będą szkoły pracujące w znacznie lepszych od nas warunkach. Jest to podwójna przykreść



dia dyrektora szkoły, który docenia ogrom pracy kolegów nauczycieli w.f., a w niczym im pomóc nie może.

Na drodze dalszego rozwoju sportu wśród młodzieży naszego liceum widnieją w tych okolicznościach czerwone światło, inni mają na swej trasie zielony sygnał — znak, że tor jest wolny. Ale przecież nie o wąsko pojętą wyżywność chodzi — a o troskę o ogólny rozwój fizyczny młodzieży, od tej troski niezależnie od warunków nigdy nie będziemy wolni,

CO w terenie?

Od mniej więcej 1937 roku powstało w Polsce ponad 300 klubów młodzieżowych, z których 180 prowadzi samodzielnie Związek Młodzieży Socjalistycznej. Po okresie dynamicznego i żywiołowego rozwoju, w ruchu klubowym nastąpił obecnie okres pożądanej stabilizacji. Dlatego też KW ZMS przystąpił ostatnio do przeprowadzenia wnikłej analizy działalności tych placówek w naszym województwie, mającej na celu wypracowanie niektórych form pracy dotychczas stosowanych przez kluby oraz wytyczenie konkretnej linii programowej na przyszłość.

„Podstawową funkcją klubów ZMS jest praca wychowawcza, zgodna z założeniami ideowo-politycznymi Związku, uwzględniająca zainteresowania i potrzeby młodzieży” — oto główne hasło prowadzonej obecnie akcji.

Już 55 lat istnieje w Łodzi Chór Mieszany im. K. Szymanowskiego. Za wybitne zastąpienie w amatorskim ruchu śpiewaczym Zarząd Główny Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumetalnych nadał mu „Honorową Odznakę i Stopnię”. Chór bierze czynny udział we wszystkich festiwalach i koncertach organizowanych w naszym mieście i województwie, a w lipcu 1962 r. na ogólnopolskim zjeździe śpiewaków zajął jedno z pierwszych miejsc. Należy dodać, że wśród jego członków notuje się spory procent młodzieży.

17 listopada mieliśmy miłe spotkanie z okazji jubileuszu 50-lecia powstania naszego miasta. Całym sercem dotychczas się do życia: dalszych „śpiewających” 55 lat (co najmniej)

Najtrudniejszą rzeczą jest chyba jednak stworzenie świata, reszta już idzie gładko. Jak wiadomo, świat stwarza się przy pomocy słów. W dzisiejszych czasach, ciężkich dla poezji poeta może być epigonem, komentatorem lub demurkiem. Epigon szczęśliwym usom, wędrownym w zasłuchaniu w podstarzałe rytmy zapewniające słodkie farnienie, komentator podający w wątpliwość istnienie przedtem stworzonego świata budzi dreszcz niepokoju, demurk — ryzykującą próbą zbudowania wszystkiego od początku na ogół lekkie przerażenie.

Niewątpliwie Bernard Sztajnert wybrał ciemną drogę demurga. Demurga wcale nie przepelnionego radością twórczą i pełnego wątpliwości. Zmysł dramatyczny tej poezji polega przede wszystkim na ciągłym ścieraniu się zastanej egzystencji słów i pojęć z próbami powołania do życia nowej — czuje się walkę o każde słowo, o każdy jego obszar, bo idzie tu również o to, aby słowo jak najbardziej spełniało rolę wykładnika. Z leku przed nazwą, przed ostatecznym sformulowaniem wynika konstrukcja wierszy Sztajnerta — ich koncepcja jest często ukryta pod powierzchnią słów. Sztajnert jest trudnym poetą koncepcji — nie ma w nim nic z twórcy impresji. Ma postawę badawczą, intelektualną — eksperymentuje, przedzierając się przez zawile gąszcze tradycji, jak każdy eksperymentator tworzy — burząc. Często pozostaje tylko na wyrażeniu możliwości, tkwiącej w sprawowaniu funkcji demurga — wskazując na możliwości nazywania terenów nienazwanych, pozornie dołyczasowych odkryć:

„...A ląd odkryty czerniał niewłaściwy,
A kil okrętu jest podłużną gwiazdą,
Widoczną rybom i podwodnym miastom.”
(„Kolumb”)

Pyta również o środki demurgiczne, ale nie jest to pytanie retoryczne, jest to pytanie dramatyczne, przyznające się do niepokoju, bezsilności:

„Co począć z dźwiękiem, który nie opada,
Jakie mu miejsce wykroć w bezruchu...”

Poezja Sztajnerta jest pod każdym względem poezją przeciwieństw — towarzyszy im czujna świadomość ich istnienia mniej lub więcej ujawniona. Stonowany do granic możliwości, wpełniony w skondensowane, jakby wykute w sensie, który jest wokół fraz poetyckich wiersze jest w poezji Sztajnerta zasadniczy tragizm, wynikający z tej konfliktowej egzystencji, zarówno w wymiarach indywidualnych jak i dziejowych. Droga tego zwyciężonego tragizmu prowadzi od Norwida do Czechowicza. Sprawdzenia dzieł do jednej sprawy — rozpaczliwej i beznadziejnej — walki ze śmiercią przy ustawicznym stwarzaniu pozorów, które mają ten fakt zamaskować, streszczenie ich w kilku wierszach jest typowe dla Sztajnerta, który dąży do wydobycia samej esencji spraw:

„Helmy, które niesiono na bezbronnych głowach,
Miecze tnące milczenie, stępiała wymowa,
Jeszcze tarcze, puklerze nie broniące ciała,
Woda groźna dla myśli, dla wierności piasek,
Maski ciałem pokryte i odarte z masek,
Kości z kości wyjęte, rozbite na cienie —
Dzieje, śmierci przeciwne po ostatnie technienie”

Podobnie dzieje się z koncepcją Czasu, która została wyrażona w taki sposób, który nie nasuwa podejrzeń, aby była to próba ujęcia w wiersz teorii, koncepcja wypływa bowiem z czysto poetyckiego doświadczenia, a może służyć jako załącznik do teorii Einsteina:

„Widziałem ich pod brzoza,
Jak idąc nie przechodzą

Trągięci pod krzyżem,
Odcinają coraz bliżej”

(„Umarli”)

W wierszach Sztajnerta wszystko się dzieje — właśnie dlatego, że jest to poezja przeciwieństw, nie ma sytuacji statycznych, nie ma próby tzw. „zatrzymania czasu” — wprost przeciwnie — jest ciągle uświadomienie i wyrażanie jego wpływu, a jednocześnie ujawnienie, że w większości zostaje rozproszony na kształtowanie się form, podczas, gdy istota spraw da się streścić w kilku wierszach. Sztajnert jest relatywistą wszechstronnym — świat ludzki jest w jego ujęciu wielością egocentryzmów. Inni, to są właśnie ci, którzy „przejdą przez ucho igielne”, w ogromnej masie niepełni, fragmentaryczni, budzący znudzenie, ale triumfalnie pełni, spełniający swój program, współcześni „straszni mieszczanie”, tylko nie uwarunkowani społecznie, lecz intelektualnie.

Demurg natomiast jest w swoim egocentryzmie samotny, zagubiony między słowami, ale godzący się nawet na żadne ułatwienia.

„Nie ma gitary, jej ucho zamknięte,
Nie ma gitary, zamknąłem jej oczy,
Nie ma gitary, gitara jest ziemia,
Milczy powoli wokół własnej osi”

Jest to wyobcowanie, ale wyobcowanie heroiczne, pociągające za sobą próbę walki o wartości, nie tylko negację wartości zastanych — można tu mówić o tradycjach nie tylko poetyckich, ale o tradycjach postaw w literaturze — o po-

stawie conradowskiej, postawie camusowskiej — o nurcie literatury, zmagającej się z wartościami.

Poezja Sztajnerta jest poezją wysokiego lotu, wysokich ambicji. Ewolucja środków wyrazu od „Chwili ahistorycznej” jest wyraźna i istotna. Przy całej swojej rygorystycznej koncepcyjności jest to równoległe, a właściwie nierozdzielne burzenie i tworzenie zarówno wartości intelektualnych, jak i formalnych, poetyckich, połączone ze świadomością tego tworzenia i jego środków:

„Drugie miasto wygięta ze śmiechu ruina
Drugie miasto daleki bezdrzewny poemat
Liście stoja w powietrzu na wierszu bez rymu
Oto ja jestem ty jesteś to uczeń bez szkoły
Wiersz bez końca obecny resztkami metafor
To uliczki przypadku małe place trafia”

* * *

Bynajmniej nie z przekory i chęci przeciwstawienia jednego poety drugiemu, lecz z głębokiego przekonania ośmiela się wyrazić pogląd, że poezja Jana Czarnego przeciwna jest poezji Sztajnerta. Czarny jest bowiem z natury impresjonista, „Autoportret”, w którym autor filuternie ściera się gumką, pozostawiając tylko co ciekawszymi fragmenty, to jak sądzi, wiersz programowy dla całego tomiku, w którym poeta, chytrze niekiedy odbiegając od tematu, tworzy autowizję, autoludzi i autowrażenia. Świat jest barwnoplamiasty,

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

STWARZANIU ŚWIATA

chwiejny i fragmentaryczny, świat zakończony pointą. W dziedzinie dorabiania światu pointy Czarny, autor frazsek, ma duże doświadczenie. Prowadzi to do typu uśmiechniętej liryki, której patronuje sam Wielki Szarlatan K. I. Galczyński. W poezji Czarnego jest skłonność do groteski („Kazio”), sentyment do ozdobnych drobiazków, barokowych ornamentów. Poeta ma słabość do „tej chwili”, tzn. chwili, której wartość tkwi w nielawości:

odjeżdżają
puste tramwaje
na ostatniej
platformie
słońce
w skrzyni
z napisem
„ostrożnie”

Postawę Czarnego wobec świata, wobec innych można określić jako czuły egocentryzm, to znaczy, że bliższy i lśni się ku poecie to, co go wyraża i ozdabia. Rzecz można, że świat istnieje tylko wtedy, gdy otrzyma na to zezwolenie. Klasycznym przykładem jest tu wiersz „Wyjaśnienie”. Poeta w nim się demaskuje, ale impresjonista demaskuje się zawsze — to należy do jego programu, jest to wiersz o dorabianiu wnętrza. Dorabianie wnętrza (w wersji uproszczonej) polega na zapewnieniu osobom postronnym takiej postaci życia wewnętrznej, jaką zaprojektował dorabiacz wnętrza. W ujęciu Czarnego wygląda to tak:

„Oni o sobie nic nie wiedzą i dlatego przychodzą
do mnie aby się czegoś dowiedzieć
w ten sposób zapełniają się ich portrety
wzbogacają w rysy i linie
powstają po raz pierwszy na czystym płótnie ich wyobraźni
ja jestem tym, od którego zależy bogactwo tych
reacji...”

„Czuły egocentryzm” prowadzi w konsekwencji nawet do konstrukcji takich, jak w „Biegającej” — gdzie biorąc pod uwagę warstwę obrazową można by mówić o surrealizmie, jeśli natomiast spojrzeć na to jak na sytuację liryczną, porządkowaną jakości wrażenia, (tak spojrzeć należy), trzeba tę sytuację uznać za bardzo udaną i bardzo dla poezji Czarnego charakterystyczną. Elementy świata biegną ku poecie:

„między różowymi konarami twego ciała biel śniegu
na nim kruche gałązki
rozczapierzone kurze łapki
i zgubione piórka
przybiegłaś do mnie zadyszana
spojrzałaś w oczy
wejrzałaś we mnie
zobaczyłaś białą równinę
pokrytą śniegiem
biegniesz
po niej

Jest to czysta postać impresji — rozbitej na elementy, którą też są impresjami.

Impresje mają często u Czarnego charakter igraszek, ponużonych do żartu poetyckiego. Lubuje się on w niedostojach, niedopowiedzeniach, które są pokazaniem figi czytelnikowi. Jednocześnie przyznać trzeba, że eokolwiek by się miało do zarzucenia metodzie impresjonistycznej, impresje Czarnego są sugestywne, niekiedy bardzo ciekawie skonstruowane. Wspomniany już wiersz „Biegająca” oraz „Mur” przez swoją warstwę obrazową nabierają jakiejś perspektywy, jakby wymiaru w głąb. Wiersz „Piękne kobiety” jest właściwie zbiorem odrębnych impresji. Można to jednak rozumieć jako pewnego rodzaju manifestację własnej postawy — poeta jest ośrodkiem tych wszystkich wrażeń, które krążą koło niego i składają się na obraz świata. Piękne kobiety pojawiają się aż na końcu wiersza w bardzo niewyraźnej i dwuznacznej roli. Ich funkcja w świecie wrażeń poety jest niezbyt wyraźnie określona. Jest w tym poślednim miejscu przyznaniem „elementowi przyrody” chyba znowu żart i przekora.

Jeśli chodzi o sprawę bądź co bądź tak zasadniczą jak własna śmierć, to Czarny idzie za swą trumną (motyw leśmianowski), spokojnie się zakopuje, po czym staje oparty na szpadlu „jak pomnik”. Autoironia jest tu posunięta bardzo daleko, można powiedzieć, że jest maksymalnie odważna — jest to ujawnienie, że poza jest silniejsza od śmierci, jest to więc drugi nurt — z jednej strony triumfalny, nonszalantki egocentryzm, z drugiej — podanie w wątpliwość jego podstaw. Najlepiej wychodzi Czarnemu potraktowanie spraw zasadniczych z pozycji ironisty — inaczej wykazuje pociąg do retoryki. Efekt tragiczny udaje mu się natomiast osiągnąć przez zetknięcie dwóch poetyk. W wierszu „Mur” spotyka się poetyka ta z Galczyńskiego rodem z różewicowską, zwyciężył tragizm robi wrażenie na ile błyskotek.

Niewątpliwie cechuje poezję Czarnego zdolność konstruowania sytuacji lirycznych, umiejętność określenia własnej poetyckiej postawy — czasem jednak odnosi się wrażenie, że ta impresja ma być zbyt autonomizująca, że nie ma swojego miejsca na koncepcji świata poety. Chyba wyzwolenie się spod magii Wielkiego Szarlata i własnych wprawdzie bardzo dobrych ale jednak innych gatunkowo, bo frazskowych tradycji, wyszłoby na korzyść tej poezji, która jest na drodze do określenia własnej odrębności.

* * *

Natomiast trudno przewidzieć w jaki sposób i kiedy wyodrębni swój styl poezja Jerzego S. Feliksiaka, którego twórczość można potraktować jako niedemurg i niekomentatora. Jest rzeczą zaskakującą, że korzenie tradycji tej poezji są bardzo głęboko i szeroko rozgałęzione. Pewne chwytu stosował już Tetmajer, Asnyk, Lechoń, Wierzyński, Tuwim, Wandurki, Broniewski oraz inni. Wszystkie te style znajdują się w postaci zresztą zresztą powiązanych elementów w twórczości poetyckiej Feliksiaka. Poeta nie wykazuje przy tym żadnego niepokoju — wprost przeciwnie — spontaniczną radość twórczą. Pewien jest świata. Spokój — spokój cisza — cisza, miłość — miłość. Nawet w wierszach (jak np. „Elegia”), w których zdradza zdolność konstruowania sytuacji o silnym zabarwieniu tragicznym, a więc pewnego typu koncept poetycki, gubi sprawę łatwości słowa, brak pracy nad środkami wyrazu. Poza tym Feliksiak uwielbia deklaracje. Głosi je z wyżyn własnego entuzjazmu urbi et orbi. „A ja niedouczony Mochnacki i trochę Jesienin!” pisze np. Bój się poeta pustostolował! Dłaczego Mochnacki, paczemu Jesienin? Pełno u Feliksiaka zwrotów jak „twarde serce”, „schoły życia” itd. Zwłaszcza strofy miłosne budzą lekki dreszcz trwogi:

Dziś tu mieszkają staruszkowie stwi
Zegar już inne odmierza godziny
I nie odpowie szorstka dozorczyń
Dokąd odeszła stąd miłość dziewczyny.”

Tomik Feliksiaka jest bardzo debiutancki. Oby przetworzył on swój język popularny na poetycki i doszedł do wniosku, że „miłość dziewczyny” nic już dziś w poezji nie oznacza.

„Biblioteka Poetów”. Bernard Sztajnert: „Odwrocony kamień”. Jan Czarny: „Parę lat”. Jerzy S. Feliksiak: „Zamiast emblematu”. Wydawnictwo Łódzkie 1963 r.

Wracamy UWAGĘ CHAGALLOWSKI ŚWIAT ADAMA MUSZKI

Przed paroma dniami otwarto w Klubie Dziennikarza miniaturę wystawki prac malarzskich łódzkiego artysty Adama Muszki. Artysta w osiemnastu eksponowanych pracach pokazał nam typowo chagalowską świat — małe miniaturowe zdyktowane, fruujące koziołki, domki zagubione na pagórkach bez perspektywy...

Małarska poetyka Chagalla wykorzystana została zresztą przez łódzkiego artystę raczej w rekwiwizjach i konstrukcji obrazu. Zagubiono jednak bajkową kolorystykę, Adam Musz-

ka stosował barwy przydające swoim pracom nieco więcej smutnej nastrojowości.

Rekwizytornia Chagalla w pracach łódzkiego artysty wykorzystana jest w sposób może zbyt natrętny ale w końcu owo naśladownictwo, bo jest to jednak naśladowstwo, jest przecież zupełnie zamierzone i wcale nie mówi o ograniczonych możliwościach Adama Muszki. Artysta po prostu dokonał czegoś, co w muzyce określa się mianem wariacji na pewien temat. Bardzo dobrze, że niedługo zobaczymy w Łodzi większą, indywidualną wystawę Muszki. Będziemy zatem mogli skonfrontować jego chagalowskie prace z pełniejszym, już zupełnie własnym światem artysty.

J. W.



Fragment sceny z przedstawienia „Teodor Gentleman”.

„TEODOR GENTLEMAN”

W tym czasie wystartowała Opera Wrocławska z premierą „Teodora Gentlemana”. Tadeusza Szlagowskiego (muzyka) i Czesława Chruszczewskiego (libretto). W lipcu wybuchła we Wrocławiu ośpa i jak pisze Wojciech Dzieduszycki w „Życiu literackim” nawet najodważniejsi krytycy warszawscy na premierowym spektaklu byli nieobecni. Dziś „Teodor Gentleman” ma za sobą ponad 20 przedstawień i sporo bardzo dobrych recenzji w krajowej prasie. Opera zarówno od strony widowiskowej i literackiej jest na pewno wydarzeniem artystycznym dużej miary. I to nie dlatego, że każde nowe współczesne dzieło tego gatunku budzi zrozumiałe zainteresowanie. „Teodor Gentleman” obok interesującej muzyki prezentuje bowiem nader ciekawą stronę fabularną. Otóż do Instytutu Cybernetyki zgłasza się młoda milionierka z zamówieniem na robota — mechanizm czekokształtny, przystojny, uprzejmy, inteligentny. Potem na widowni ukazuje się zbrodnicy naukowiec snujący plany zagłady ludzkości przez armię robotów. Do rozpoczęcia „Akcji O” nie dochodzi jednak i ośmieszają się happy endem. Tyle w skrócie o treści widowiska, które obfituje w zbyt napięte, niemal sensacyjne momenty, abyśmy je mogli zdradzić przyszłym widzom. A właśnie Opera Wrocławska puściła z „Teodorem” w tournée po Polsce i jakkolwiek rozmowy na temat występów w Łodzi są dopiero w toku, mamy nadzieję, że łódzka publiczność zobaczy to interesujące widowisko. Krótko więc o realizatorach. Reżyser: Lia Roßbaum, scenograf: Aniela Wojciechowska, dyrektor artystyczny i dyrygent Adam Kopyciński. Z wykonawców recenzenci wyróżniają przede wszystkim Halinę Słonowską w roli milionierki. To tyle. Wypada więc czekać na przyjazd „Teodora Gentlemana” do Łodzi.

J. W.

str. 8 odgłosu

ICH „SIÓDMY CUD ŚWIATA”

JERZY LOGA

CHARAKTER prawny URLOPU W NAUCE SOCJALISTYCZNEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

somolu”, uprzedziła wprowadzić, że Klub Młodzieżowy znalazł sobie locum daleko od śródmieścia, ale jazda szybkim autobusem trwała już dwadzieścia minut, i dopiero po trzydziestu pięciu minutach zsiadła, gdzie sziłmy uliczkami osiedla, które do złudzenia przypominały nowe Bałuty. Przed piętrowym budynkiem z czerwonym neonem „Mariczka” spotkaliśmy kilkunastu miejscowych chłopców. Przywitali nas serdecznie, zaprowadzili do szatni, pokazali, gdzie można umyć ręce, gdzie są lustra, życzyli dobrej zabawy. I zostali w hallu, na dole. To byli chłopcy, którzy już kilka dni wcześniej kupili bilety (czekając zresztą dość długo na swoją kolejkę, bo popularność „Mariczki” — młodzieżowego klubu-kawiarni jest ogromna) i jeszcze rano umawiali się ze swoimi dziewczynami, młodzi robotnicy i studenci, którzy na ten wieczór odstąpili nam swoje kawiarniane stoliki.

Kijowski klub-kawiarnia „Mariczka”: ogromna, ale bardzo przytulna (ładne, „cieple” oświetlenie, nowoczesne mebelki) sala, duży parkiet do tańca, świetni piosenkarze — amatorzy, magnetofon z nagraniami najnowszych jazzowych szlagierów, miłe kelnerki, które ciągle krążą między stolikami. I młodzież: roztańczona, rozgadana — jak wszędzie na świecie.

Młodzieżowy klub-kawiarnia „Mariczka” powstał dopiero niedawno. Jest miejscem towarzyskich spotkań, dyskusji z ciekawymi ludźmi, trybuna dla znanych i początkujących poetów, estradą dla recytatorów i piosenkarzy, salą tańca i domem weselnym dla młodych nowożeńców. Pije się wino i bardzo słodką herbatę, je owoce: jabłko, winogrona, arbuzy, a także dużo cukierków. Prawie wcale nie pije się kawy (choć i dobra, z ekspresu) mocnych likierów (a na półkach ogromny wybór) wódek. Biedna Karola po półgodzinnym z nami siedzeniu mrużyła oczy. W całej kawiarni nie było tyle dymu ile przy „polskich”, kilku stolikach. Młodzi Rosjanie palą bardzo niewiele, dziewczyny z papierosem na sali nie zauważyłyśmy. Polskie dziewczęta zauważyły natomiast, że ich radzieckie koleżanki mają takie „dziwne” świeże, zdrowe twarze.

W klubie-kawiarni „Mariczka” taniec jest jedną z wielu form rozrywk. W

klubie „Mariczka” nie obowiązują żadne „parkietowe konwenanse”. Tańczą dziewczęta z chłopcami, dziewczęta z dziewczętami, kto chce może tańczyć sam, może podejść do mikrofonu i zaśpiewać jedną zwrotkę granej przez orkiestrę piosenki.

Z bywałcami kawiarni „Mariczka” poznaliśmy się bardzo szybko. Karola mając już wyżej uszu naszych prób o twista pobiegła do stolika orkiestry i orkiestra zagrała: oryginalnego, polskiego — „Ali Baba, Ali z bajki”. Nasi chłopcy gielili się do podłogi, „rzucali” nogami; było zupełnie jasne, że za wszelką cenę chcieli zwrócić na siebie uwagę słycznych — nie da się ukryć — miejscowych dziewcząt, które ciasnym kółkiem otoczyły parkiet. I zwrócili uwagę, a jakże. Młode kijowianki przyszyły poprosić ich do charlestona — takiego oryginalnego, z trudnymi przejściami, zwrotami. Jak one biedne namęczyły się w tym tańcu... Ale znajomość została warta i zniknął podział na „polskie stoliki” i „ich stoliki”.

Szliśmy ulicą Gorkiego w Moskwie, szliśmy na spacer, na jedną z tych przechadzek, które pamięta się potem do końca życia. Przed jednym z domów zobaczyliśmy długą kolejkę: dziewczęta, chłopcy — tylko młodzi ludzie. Ktoś podszedł bliżej, przeczytał napis nad drzwiami: „Młodzieżowe kafe”. Była za pięć minut siódma.

— O której otwierają? — zapytaliśmy Marynę naszą przewodniczkę.

— O siódmej. Ale spojrzcie jaka kolejka.

Nie było żadnych wątpliwości, nie mieliśmy szans. Do klubu-kawiarni wpuszcza się tylko tyle osób, ile miejsc przy stolikach. Dlatego młodzi moskwićanie przychodzą wcześniej jeszcze przed otwarciem.

W „Młodzieżowe Kafe” byliśmy jednak tego wieczora, weszliśmy jako pierwsi, bez kolejki. Bo radziecka młodzież, jak cały radziecki naród — jest gościnna, serdeczna. Znow kilkunastu stałych bywałców odeszło do domu, a my tańczyliśmy, śpiewaliśmy, słuchaliśmy wierszy, oglądaliśmy znakomite krótkometrażówki, pililiśmy herbatę i dobre, rosyjskie wino. Znow pełni zachwytu obserwowaliśmy swobodny,

robotników, inżynierów, lekarzy, młodych wojskowych, studentów freski — nowoczesne — na ścianach klubu-kawiarni. Podobał nam się, podobnie jak w Kijowie, zyczliwy stosunek kelnerek, a więc tzw. „strony gastronomicznej” klubu do każdego siedzącego na sali, zyczliwy bez względu na to czy zamawia się butelkę wina i dziesięć ciastek, czy tylko szklankę herbaty. O, polska gastronomio-partnierz ZMS w prowadzonych u nas młodzieżowych klubach-kawiarniach, czy to nie zmusza do refleksji?

Kluby-kawiarnie powstały w Związku Radzieckim później niż nasze „Staromiejskie”, „Uśmiechy”... I jest ich coraz więcej i bogatsze już mają doświadczenia. Młodzież Moskwy nazywa „Młodzieżowe Kafe” (cytuje za D. Władimirową z jej artykułu w czasopiśmie „Sowietskaja Kultura”) swoim „siódmym cudem świata” i jest do tego „siódmego cudu” szczególnie przywiązana. Bo „Młodzieżowe Kafe” w Moskwie podobnie jak „Mariczka” w Kijowie, to takie miejsca, gdzie mądzy organizatorzy potrafią w rozsądnych proporcjach dawować taniec i poezję,



Karola (pierwsza z prawej) z łódzkimi dziewczętami.

Fot. W. Pietrzak

Kluby-kawiarnie dla młodzi powstały w Związku Radzieckim wiele miesięcy później niż nasze „Palacyki”, „Staromiejskie”, „Uśmiechy”, „Piwnice Świdnickie” itp. Ale dzisiaj są to już lokale, które wyróżniają się korzystnie wśród zwyczajnych zakładów typu kawiarnianego, lokale ze stałą grupą bywałców i jednocześnie organizatorów i wykonawców ciekawych programów rozrywkowych. Dziś na każdy wieczór w klubie-kawiarni czeka się jak na święto.

miły nastrój, koleżeńską, niepowtarzalną atmosferę. Podobał nam się kierownik programowy młodzieżowej kawiarni, chłopak, który ani na chwilę nie opuszcza miejsca przy jednym ze stolików, który jest gospodarzem, konferansjerem, „łącznikiem” między orkiestrą, poetą, twórcą filmu a młodzieżą siedzącą w kawiarni. Podobał nam się program klubu-kawiarni (dziesiątki najróżniejszych imprez w każdym miesiącu — w tym również dużo tańca) i wykonane własnoręcznie przez młodych

dyskusję o współczesnych normach moralnych i konkurs na najładniejszą sukienkę wieczoru, itd., itp. To wreszcie takie miejsca, gdzie można poznać ciekawą dziewczynę, chłopaka, uścisnąć rękę znanego rekordzisty sportowego, zobaczyć z bliska ulubionego aktora, posłuchać opowieści starego rewolucjonisty, a poza wszystkim innym, w pogodnym nastroju, po przyjacielsku także do prostu, o codziennych sprawach poplotkować.

HALINA BATOROWICZ

Zwracamy uwagę czytelników na książkę Jerzego Loga „Urlopy wypoczynkowe” (Łódzkie Tow. Naukowe, Łódź 1963, str. 189, cena zł 28). Jest to 49 pozycja prac Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych. Dotychczas ukazało się 51 prac tego wydziału. Znajdujemy wśród nich takie pozycje jak omawiana niedawno na łamach „Odgłosów” książka Zygmunta Izdebskiego i Jerzego Tudreja Kierownicy przedsiębiorstw kapitalistycznych. Z Kuchowicza Warunki zdrowotne wsi i miasteczek województwa łęczyckiego i sieradzkiego, A. Lesniewskiego Bakunin a sprawy polskie w okresie wiosny Ludów i Powstania Styczniowego 1863 roku i inne.

Zwracamy uwagę na tę książkę z wielu względów. Jest to pierwsze w Polsce monograficzne opracowanie istoty zagadnień urlopu wypoczynkowego obejmujące całokształt problematyki prawnej w dziedzinie stosunków pracy w zakładach przemysłowych i handlowych. Nota wydawnicza podkreśla, że „autor łączy konkretne zagadnienia, wyrosłe z aktualnie obowiązującego ustawodawstwa w Polsce z podbudową teoretyczną urlopu wypoczynkowego. Całość tych zagadnień omówiona została na sze rożnym tle porównawczym ustawodawstwa i literatury państw obozu socjalistycznego i krajów kapitalistycznych. Książka stanowi wartościową pozycję nie tylko w dziedzinie teorii prawa pracy, ale oddać może również poważne korzyści praktykom, stykającym się na co dzień z zagadnieniami urlopu wypoczynkowego: Na tę praktyczną przydatność książki zwracamy również uwagę.

Poniżej drukujemy fragment rozdz. II tej książki (bez przypisów).

Institucja urlopu wypoczynkowego ma to do siebie, że zarówno w ustroju kapitalistycznym, jak i ustroju socjalistycznym — zasadniczo biorąc — ma ten sam cel do spełnienia: ochronę zdrowia pracownika przez umożliwienie mu corocznego płatnego wypoczynku. Państwa socjalistyczne przejęły instytucję urlopu wypoczynkowego, wykształconą w warunkach kapitalistycznego ustroju, a co więcej — w krajach demokracji ludowej utrzymały się po części przepisy prawa normujące tę instytucję, a wy-

dane przez kapitalistycznego ustawodawcę.

Rozwój prawa urlopowego państw obozu socjalizmu różni się jednak od prawa urlopowego w ustroju kapitalistycznym szeregiem cech wynikających z odmienności ustroju społeczno-politycznego. Przede wszystkim państwa socjalistyczne, przejmując instytucję urlopu wykształconą w ustroju kapitalistycznym, nadały jej cechy instytucji powszechnej, obejmującej wszystkich zatrudnionych. Widać to na przykładzie rozwoju radzieckiego prawa urlopowego. W ZSRR od pierwszej chwili wydania przepisów w tym względzie prawo do urlopu służyło wszystkim pracującym, bez względu na charakter i miejsce spełnianej pracy. W chwili obecnej nieznaczne wyjątki od zasady powszechności prawa do urlopu dotyczą jedynie pracowników, których charakter pracy nie pozwala na spełnienie warunków zastrzeżonych dla nabycia prawa do urlopu (np. pracownicy sezonowi oraz zawierający umowę o pracę na krótki okres czasu).

Dalszą cechą specyficzną urlopu w ustroju socjalistycznym jest jego charakter jako realizacji obywatelskiego prawa do wypoczynku. Zagwarantowanie prawa do wypoczynku przez wszystkie konstytucje krajów obozu socjalizmu podniosło prawo do urlopu do rzędu podstawowych praw obywatelskich. Prawo do wypoczynku realizowane jest bowiem przede wszystkim poprzez płatne urlopy wypoczynkowe. Podniesienie prawa do urlopu do godności prawa obywatelskiego spowodowało w niektórych krajach obozu socjalizmu zerwanie z dotychczasową zasadą prawa urlopowego, warunkującą nabycie i zachowanie roszczenia pracą na rzecz danego zakładu pracy. Podstawą tego roszczenia staje się praca na rzecz gospodarki narodowej jako całości. W tych warunkach urlop przestaje wyrażać odpłatę danego pracodawcy za spełnianą przez pracownika pracę na jego rachunek, a staje się świadczeniem udzielanym z tytułu pełnionej pracy dla gospodarki narodowej i realizuje obywatelskie prawo do wypoczynku.

Zwrot ten najwyraźniej dokonał się w Niemieckiej Republice Demokratycznej i w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W państwach tych — szczególnie w Polsce — uczynione zostały już pierwsze poważne kroki w kierunku praktycznej realizacji zasady, wynikającej z uznania prawa do urlopu za podstawowe prawo obywatelskie. Inne państwa socjalistyczne zachowały nadal warunki polegające na uzależnieniu nabycia i zachowania prawa do urlopu od pracy na rzecz danego zakładu pracy. Jednakże przepisy tych państw w szerokim zakresie przewidywały wyjątki od tej zasady, co zdaje się uzasadniać wniosek, że rozwój prawa urlopowego będzie zmierział w całym obozie socjalizmu w kierunku uzależnienia prawa do urlopu od świadczenia pracy na rzecz gospodarki narodowej jako całości.

Cechą charakterystyczną socjalistycznego prawa urlopowego jest uzależnienie wymiaru urlopu od rodzaju pełnionej pracy. Tak więc i w tej dziedzinie socjalistyczne prawo dąży do realizacji zasady „każdemu według pracy”. Przykładem służyć tu może przede wszystkim prawo urlopowe Związku Radzieckiego, gdzie rozbudowano w szerokim zakresie system urlopu dodatkowych i przedłużonych dla pracowników zatrudnionych w warunkach szkodliwych czy uciążliwych.

Kraje obozu socjalizmu zmierzają wreszcie do stworzenia warunków, które umożliwią na najszerszym stopniu zapewnić realizację celu urlopu. Rozbudowana w tych krajach organizacja czasów pracowniczych umożliwiła ma pracownikowi rzeczywisty wypoczynek w okresie urlopu. Różnorodność akcji czasów pracowniczych i związana z tym coraz bogatsza forma wypoczynku zasługuje na szczególne podkreślenie.

W pracowniach łódzkich pisarzy

ZBIGNIEW NIENACKI



Niemal co roku publikuję jakąś książkę, sporo zebrało się ich na mojej półeczce. Wszystkie są wypracowane, wymagają wznoszenia, ale o nie dość trudno ze względu na naszą sytuację papierową. W tym roku opublikowałem aż dwie książki: *Laseczka i tajemnica* oraz *Podniesienie*, obydwie w „Czytelniku”. Obydwie te książki są tak różne, jedna — to „kryminal” łódzki, cieszę się, że go napisałem, zjednał mi mnóstwo czytelników w najszybszych kręgach; słusznie chyba, sądząc po dyskusji w „Kulturze”, próbuje się nadać pewną rangę temu gatun-

kowi widząc w nim „formę” pocztę literatury masowej”. Zresztą, powieść kryminalna to moim zdaniem dobra zaprawa dla dramaturga. *Podniesienie* — to powieść o komunistach polskich w okresie walki o reformę rolną na Ziemi Łódzkiej. Zawarłem w tej powieści kawałek własnej autobiografii.

Półka z moimi pozycjami powiększyła się także o czeski przekład *Worka Judaszów*. *Pytel Jidašu* — tak nazywa się ta książka w czeskim wydaniu i pięknym przekładzie p. Heleny Teigowej. Wydano ją w 30-tysięcznym nakładzie i podobno zniknęła z pół-

tek księgarskich w ciągu kilku dni. A przecież jest to powieść polityczna z okresu walki o władzę ludową w woj. łódzkim. Okazuje się jednak, że powieść polityczna cieszy się wciąż dużym powodzeniem nie tylko u nas, ale i w Czechosłowacji. Rzecz ciekawa — z ZSRR zwrócono się do mnie z propozycją przekładu *Pozwolenia na przywódz łwa*, a z NRD — *Podniesienia*. Z mojej twórczości więc nie jakaś jedna pozycja, ale w różnych miejscach różne książki budzą zainteresowanie.

Wreszcie — właśnie w tym miesiącu — przeżyłem prapremię *Golema* w Teatrze Powszechnym. Dano mi wspaniałą obsadę aktorską, jestem zachwycony pracą inscenizacyjną Romana Sykały. Sztuka moja w jego reżyserii, wydaje mi się, że bardzo dużo zyskała.

Ponadto, wkrótce w formie publikacji ukaże się moja sztuka *Styżka*, którą w ubiegłym roku zainscenizowała Telewizja Warszawska.

Jak przedstawiają się moje plany? W druku znajdują się dwie nowe powieści. *Wyspa złoczyńców* — powieść dla młodzieży, która ukaże się w serii „7 przygód” w „Naszej księgarni” oraz *Anthropos* — współczesna powieść środowiskowa osadzona w łódzkich realiach. *Anthroposa* wydaje „Czytelnik”. W związku z XX-leciem Polski Ludowej, Ministerstwo Kultury i Sztuki zwróciło się do mnie z propozycją przeniesienia na scenę powieści mojej *Worek Judaszów*. Nigdy nie próbowałem adaptacji, dlatego właśnie chyba zainteresowała mnie ta propozycja i właśnie obecnie pracuję nad nią.

Mam na warsztacie także nową powieść. Tytuł jej *Sumienie*. Bohaterem jej jest krytyk teatralny, który społecznie pracuje jako ławnik w sądzie. Nietrudno więc domyślić się, że będzie to powieść o zagadnieniach wymiaru sprawiedliwości, oparta na moich własnych doświadczeniach jako ławnika w Sądzie Wojewódzkim dla m. Łodzi.

KONFERENCJA u MECENASA

5.

Prokurator wstał: — Świadek zeznał, że stał przy pompach, gdy Michał spadł ze schodów.

Na to mecenas: — Świadek trzykrotnie zmieniał zeznanie.

Na to prokurator: — Ja proszę, żeby mi pan adwokat nie...

Na to przewodniczący: — Czy świadek zdaje sobie sprawę o co...

Na to Zdonek: — O co mnie podejrzewają?

Na to prokurator: — To ja świadkowi.

Na to mecenas: — Proszę Sądu, ja protestuję.

Na to przewodniczący: — Panie prokuratorze.

Byłem znużony, szumiało mi w uszach, czułem młoteczkę w skroniach, pot zalewał mi rzesy. I może dlatego obraz sali sądowej zacierał mi się i znów rozjaśniał, podnosił i opadał jak na ekranie telewizora z zakłóconą synchronizacją pionową, a zeznanie świadków (po zbadaniu Zdunka zeznawał Gawlik, Liberski i Castellaz, w ich zeznaniach pozory prawdy przelatywały jak piteczki, podbijane zrecznymi uczestnikami, biorącymi udział w grze: przewodniczącego, ekspertów, prokuratora i mecenasa. Sala sądowa sprawiała chwilami wrażenie hali sportowej, gdzie ku cichej uciesze publiczności rozgrywały się emocjonujące zawody, w których o zwycięstwie rozstrzyga zreczność, przytomność umysłu i szybki refleks, zdolność celnego odparowania (zarzutu) dochodzący do mnie w urzywkach, pomimo że wytyczałem słuch i starałem się łowić każde słowo.

Castellaz: — Chyba tylko przez złośliwość robotnik może spuścić samowolnie odcinek z podnośnika.

Prokurator: — To jest osobisty pogląd świadka?

Mecenas (zaciętrzewiony): — Ja proszę, żeby Sąd raczył zwrócić uwagę panu prokuratorowi na niewłaściwość tego rodzaju pytania.

Przewodniczący (sucho): — Sąd sam wie dobrze, kiedy należy zwracać uwagę stronom.

Mecenas: — W każdym razie proszę o zapisanie do protokołu pytania, jakie zadał świadkowi przedstawiciel urzędu prokuratorzkiego.

Prokurator: — Ja również o to proszę.

Przewodniczący: — Panie adwokatcie... Panie prokuratorze.

Przewodniczący: — Sąd sam wie, co powinno znaleźć się w protokole sądowym.

Mecenas: — Tak, ale...

Mecenas (trzęsącym się głosem): — To rzuca światło na metody stosowane przez oskarżyciela.

Przewodniczący: — Panie adwokatcie...

Mecenas polemizował z prokuratorem, prokurator protestował, sędzia - przewodniczący uchylał pytania i przywoływał mecenasa i prokuratora do porządku, nikt z nikim nie mógł dojść do zgody, jak gdyby jakiś niewidzialny demon, ukryty w paragrafach i formułach procedury sądowej, skłócił osoby biorące udział w procesie, żeby się nie mogły porozumieć.

Wreszcie badanie świadków zostało zakończone. Mecenas (po krótkim przemówieniu prokuratora) wstał i zabrał głos dając od początku znakomity pokaz niezrównanej sztuki

krasomówczej. Od razu można się było przekonać, co to za mistrz. A więc, przede wszystkim, wyszedł z ławy obrończej, gdzie mu było ciasno i niewygodnie, i gdzie nie mógł rozwinąć całego wachlarza gestykulacji uzupełniającej brzmienie słów i mimiki. Wyszedł więc przed ławę i zaczął od tego, że gestem bezradności rozłożył ręce jakby na znak niewiedzy. Proszę, co za gracz! Podchodź do swych słuchaczy, jakby oni byli mądrzejsi od niego i znał się lepiej na rzeczy, nie śmiał pozornie narzucać im swego zdania, przyznawał im rację, przewagę uznając jakoby swą niższą. „Cóż więc dalej należy do kunsztu, jak nie to, aby mowę rozpoczynał w taki sposób, żeby słuchacz dał się zjednać?” — przypominały mi się urywki z Cyclerona podkreślone czerwonym ołówkiem w broszurce zatytułowanej „Klasyczna teoria wymowy”. Bowiem ludzie (słuchacze, sędziowie) nie lubią, gdy mówca stara się im zaimponować i ukazuje swą wyższość, gdy zachowuje się tak, jakby wiedział lepiej i więcej, a jeszcze, nie daj Boże, gdy podkreśla to, co ich właśnie drażni, obraża i z góry nastaja wrogo. Falski występując w naszej obronie od razu rąby składał broń, był rzeczowy, pojędnowczy i udawał, że nie dba o podłask publiczność. — W tej zagadkowej sprawie, w której doświadczenie wysokiego sądu wykryje prawdę — mówił zrecznie trafiając jednym zdaniem jak pojedynczym strzałem dwa cele — zajając: „zagadkę” (przez co podkreślał niezwykle skomplikowany charakter sprawy i kryjąc się w niej wątpliwość, które zawsze należy tu naczytać na rzecz oskarżonego, a nie przeciwko niemu w myśl starożymskiej zasady „in dubio pro reo” (i „doświadczenie”) przez co gaskał próżność sędziów sugerując im zarazem, że nie wypada, żeby takie doświadczone gremium popełniło błąd ferując pochopnie orzeczenie bez zbadania wszystkich okoliczności sprawy) i wciąż jeszcze mówiąc głosem spokojnym i przytłumionym, jak gdyby nie chciał drażnić krtani napędzając ją od razu głośnymi i ostrymi dźwiękami, i uchodzić za zuchwalca zrażając sobie komplet sądcy, przed którym wolał odegrać scenę pewnej nieśmiałości i zakłopotania. Ale rosnąca siła ekspresji zaczęła jak gdyby wbrew woli mówcy torować sobie drogę i wyrażać się w głosie i gestach. — Cycleron, sławny konsul i orator rzymski broniąc Milona zaczął swe przemówienie od tego, co pozwolił sobie sparafrazować — Falski uderzył w patetyczną strunę. — „A przeciw nie będę tu wykorzystywał dla ich obrony” — wionął sułym rękawem togi w naszą stronę — ani tego, w jaki sposób sprawowali swój urząd, ani w ogóle jak bardzo zastużyli się państwu, naszej gospodarce narodowej i narodowemu przemysłowi chemicznemu — przemawiał kierując cały swój wysiłek na to, aby zawiadnąć wolą słuchaczy i przekonać ich o słuszności sprawy, której bronił. A po tem te zdania z podtekstem i niedomówieniami, które tak przyjemnie gładzą ambicję docieklivość słuchaczy. Znałem kulsy: broszurkę o Cycleronie na stole w salonie z pasiastymi pokrowcami i dlatego doznawałem czegoś w rodzaju estetycznego zadowo-

lenia, jak słuchacz względnie widz, który jest świadkiem powstawania dzieła (tutaj: mowy obrończej) in statu nascendi na warstwie twórczym, niepokoiło mnie tylko (ale może się mylić) wrażenie pewnego efekciarstwa. Dalej jednak mowa zabrzmiała (musze oddać Falskiemu sprawiedliwość), jak przemówienie Cyclerona w obrobie Sekstusa Roscjusza z gatunku oszalałej wymowy „zjańskiej”, szybkiej i podniecającej w słowach (zapamiętałem to określenie jeszcze z czasów szkolnych z podręcznika „Rzym starożytny”). Wreszcie, przyszyły tak zwane wielkie problemy: wina i kara, i sprawiedliwość. Mecenas zatrzymał się chwili przy tych wielkich problemach, musnął je po wierzchu z dezynwolturą causera salonowego, które mu się wiele wybacza, i chociaż ich nie pogłębił, ani tym bardziej nie wyczerpał, jednak samo użycie wielkich słów, okraszonych patetycznym brzmieniem głosu, wywarło wrażenie na sędziach i efekt na sali (a o to przecież, jeśli idzie o wzgląd na dobro naszej sprawy głównie chodziło).

Ktoś od strony korytarza zajrzał i trzasnął z hukiem drzwiami. Wszyscy się obruszyli, zaś Falski przestał przemawiać i opuścił gestem bezradnego zaskostania ręce: zepsuto mu efekt.

Panie woźny! — zachnął się przewodniczący. — Proszę nie wpuszczać nikogo więcej na salę.

Falski skłonił się z podziękowaniem. Urok osobisty mecenasa, jego wysoka męska postać, ruch, brzmienie i modulacja głosu, gesty, mimika, napięcie energii, wszystko pomagało do wytworzenia nastroju, skłaniającego sąd do powzięcia korzystnej dla nas decyzji. Niedbalym poruszeniem ramienia sięgnął do pulpitu i wznosił rękę z białą kartką, którą trzymał za rękę, i na której (o czym wiedziałem tylko ja i Taborski) miał zapisaną nazwisko Michałakowej, wznosił powolną rękę w ten sposób, żeby wszyscy, prokurator, sędziowie i eksperci mogli widzieć co trzyma w ręce, potrząsnął tą kartką i utrzymując w napięciu uwagę prokuratora, sędziów, ekspertów i publiczności ciągnął swoją tyradę w tym sensie, że nikt nie jest w stanie wytłumaczyć takiego nonsensu produkcyjnego, jakim było otwarcie zaworu i spuszczenie do kanału, w błoto, półproduktu o wartości dziesięciu tysięcy złotych, który był przeznaczony do przetłoczenia z powrotem do aparatu posulfenacyjnego i do dalszej produkcji, nikt oprócz brygadzysty Wiktora Michałaka, ale ten zabrał tajemnicę tragicznej nocy kwietniowej do grobu.

Oczekująca sensacji publiczność zamarkała w ci-szy, podczas której Falski rozwijał i uzasadniał tezę, kto mógł być zainteresowany i w jakim celu dopuścił się zbrodniczego otwarcia zaworu spustowego?

Z tym, co powiedział dalej, nie mogłem się już zgodzić. Widziałem że Taborski również denerwuje się i spogląda na mnie pytająco. Wznosił nawet rękę, jakby chciał przerwać naszemu obrońcy (uczynił to z jakąś milcząca zawziętością, poznałem to po jego minie, chociaż twarz miał spokojną), dając mecenasowi dyskretnie znak, że chce coś powie-

dzieć, lecz mecenas, który to zauważył, nic sobie z tego nie robił i prawił dalej z werwą, zacięciem i elokwencją, więc Taborski już się nie odważył powtórzyć gestu. Obserwując mecenasa zazdrościłem mu zapału, z jakim przemawiał, zazdrościłem temperamentu i frenezji, z jaką bronił naszej sprawy, i zazdrościłem czegoś jeszcze, co uświadomiłem sobie jasno dopiero po dłuższej chwili refleksji. Patrząc na Falskiego ujrzałem, jak z jego wystudiowanych gestów (udających gwałtowność i oburzenie, a przecież obliczonych na efekt i nie przekraczających granicy dobrego smaku) i z jego (nabrzniałych patosem i domagających się sprawiedliwości, a zarazem miotających gromy na głowę biednego Zdunka) słów wyłania się drugi Falski, który prześcignął samego siebie, ujrzałem, jak objawia się drugi, doskonalszy obrońca, który jest kreacją pierwszego Falskiego, grającego postać adwokata doskonałego, zbliżającego się do swego cyceroniego pierwowzoru, i pozazdrościłem mu, że może bezkarnie przekraczać subtelnie zarysowaną, cieniutką jak włókną granicę obrony klienta przed sądem, że może wnieść się ponad obiegowy model aż do cyceroniego wzorca włącznie, ucieleśniając swoje sny o potędze i o sobie samym pojętym jako przykład idealnego adwokata, podczas, gdy ja, ledwie wychyliwszy się poza kontury, w których mnie uwieziono jako uznany i przyjęty przez opinię ogółu typ inżyniera, który miał nieszczyście znaleźć

szutanny pastora, prawiącego kazanie z ambyony. Nie było chyba nikogo, kto by potrafił oprzeć się urokom krasomówstwa, siłę żelaznej logiki i wymowie oszczędnych, lecz celnych gestów znakomitego obrońcy. Nie było chyba nikogo oprócz doktor Krystyny Adamskiej, która na parę tygodni przed sprawą oburzyła się, gdy jej powie-działem, że zwróciliśmy się do Taborskim do Falskiego, żeby podjął się naszej obrony, i zapytała: — Dlaczego nie zwróciliście się do mecenasa Jarosza albo do Kopczyńskiego?

Szukałem po kieszeniach paczki z „Grunwaldami”, lecz ruchy, które przy tym wykonywałem, służyły bardziej do ukrycia zakłopotania niż do odnalezienia poszukiwanej rzeczy.

Papierosy leżały przed tobą na biurku — stwierdziła chłodno.

Miałem zamiar odpowiedzieć, że jest niesprawiedliwa odsądzając mecenasa od czci i wiary za działalność przedwojenną, lecz powstrzymała mnie maska chłodnej wrogości, jaką Krystyna przybrała, niekroć padało nazwisko Falskiego, i zamiast tego zapytałem, czy wolno potępiać człowieka za działalność w granicach porządku moralnego, który dopiero później został zmieniony, a w każdym razie, jeżeli nie dosłownie, to zapytałem właśnie w tym sensie.

Krystyna wyciągnęła papierosa z paczki i zaczęła go rozgniatć. Miała tytoni spalać na biurku. Spozstrzegłem, że role się odwróciły, teraz ona była zmieszana i strzelala zapałniczką, która nie chciała się zapalić.

Zapytałem, czy odpowiadamy za przeszłość, którą zastaliśmy i która określała nasze postępowanie, w każdym razie, jeżeli nie dosłownie, to powiedziałem coś w tym duchu.

Nie było odpowiedzi. Krystyna rzuciła zapałniczkę na biurko.

Zapaliłem zapałkę i gdy

całej publiczności z ciasnej ławy, gdzie czułem się jak zakuty w dyby. Dopóki siedziałem i nie ruszałem się, nie interesowano się mną, a raczej — przestano się mną interesować, ale niech bym się tylko poruszył, zaraz bym sięgnął na siebie ogólną uwagę wszystkich osób na sali, znalazłbym się pod ostrzałem badawczych spojrzeń, nie lubię być przedmiotem powszechnego zainteresowania, w centrum uwagi, nigdy tego nie lubilem, a zwłaszcza teraz w mojej sytuacji.

Taborski siedział obok mnie, przygarbiony, z rękami zwisającymi między kolanami, jak gdyby chciał się ukryć przed oczami publiczności pod pulpitem ławy. Milczał. Zawsze był małomówny. Mówił niewiele. Mruk.

Mecenas opuścił ławę obrończą i stał w oknie, w blaskach słońca, w długiej toście do pięć, czarny jak pastor, obrońcy do nas plecami, patrzył na wyłaniającą się z rusztowań blok scenicznego pudła.

Nagle wydało mi się, że Taborski coś mamrocze. Czy by to było możliwe? Ależ, tak! Mamrotał coś. — Co pan mówi? — szepnąłem niechętnie.

Zaczął mówić, że nasz Cycleron dał dziś popis sztuki krasomówczej. Nie rozumiem. „Nasz Cycleron?” — Dłaczego Cycleron? Zapytał mrukiwie, czy pamiętam broszurę, którą przegladaliśmy w poczekalni u mecenasa? Pamiętałem broszurę o „Klasycznej teorii wymowy” i zakurzoną rzeźbę, przedstawiającą głowę Cyclerona. Zapytał, czy zauważyłem, że Falski wzięty cytaty do dzisiejszego przemówienia z tamtej broszury? Dość mi było raz spojrzeć, żeby się przekonać, jak cieszę go odkryć, którego dokonał. Być może, powiedziałem. Z pewnością, powiedział i dodał, że ci, którzy go słuchali, mogli pomyśleć, że on studiował Cyclerona. Patrzył na mnie wyzywająco, jak bym to ja był winien, że Leopold skontaktował nas z Falskim, i spytał, czy mecenas w każdej sprawie stosuje takie triki?

— Gdy się zna kulisy — powiedziałem wymijająco — przedstawienie traci na iluzji, a nawet może się wydawać cyniczne.

Cyniczne. — Zwizły chłopski profil Taborskiego ze ściętą prostopadą linią nosa rysował się ostro na tle desek. — Pod formą instytucji, będących ostatnim słowem odwiecznej kultury i cywilizacji, gdyż o ile mi wiadomo, nasze ustawodawstwo jest oparte na klasycznych zasadach prawa rzymskiego? — przerwał, jakby czekając, żebyśmy potwierdzili.

— Chyba tak — potwierdziłem.

— Właśnie. Pod formą odwiecznej kultury i cywilizacji, a raczej, pod pokostem cywilizacji — wywołał z rzadką u niego elokwencją, która musiała być zapewne wynikiem jakiejś nurtującej go pasji — toczą się na tej sali brutalne walki. Przeciwnicy nie przebierają w środkach, a o zwycięstwie decyduje w ostatniej instancji spryt, przebiegłość adwokacka i umiejętność żonglowania paragrafami. Ruchem dłoni wskazał na podium ze stołem sędziowskim. — Nasz Cycleron jest zwolennikiem najbardziej bezwzględnych sposobów walki „w rękawiczkach”, ale bez pardonu.

Domyślałem się, że to, co mówił, było wynikiem przemyśleń, które go dręczyły i którymi chciał się z kimś podzielić. — Pan mu nie ufa?

— Naszemu Cycleronowi?



podawałem ogień, zobaczyłem poszarzałą twarz Krystyny, zimny błysk oczu i uszmiłkowane usta, wygięte w grymasie nieprzejmowanej pogardy.

Przewodniczący zarządził przerwę i udał się z lawnikami na naradę do pokojów sędziów. Falski powiedział, że to czysta formalność. — Sprawa zostanie odroczone — powiedział. Wierzyłem mu, znał się chyba na swoim rzemiośle, na działaniu mechanizmu sądowego.

Zostałem w czasie przerwy na ławie oskarżonych. Miałem chęć wyjść na papieża, lecz wydało mi się, że poczułbym się niezręcznie wychodząc na oczach

Dalszy ciąg dwóch stron medalu

Badania przeprowadzone nad odbiorem telewizji na wsi miały swoją drugą, ważniejszą „stronę medalu”: głównym celem przeprowadzonych badań była bowiem analiza przemian kulturalnych na wsi dokonujących się pod wpływem telewizyjnego oddziaływania. Zajęto się więc problemem stanu aktywności kulturalnej młodzieży wiejskiej, znajdującej się w zasięgu tego oddziaływania. Jako współczynniki aktywności kulturalnej badający przyjęli nie tylko udział w amatorskim ruchu artystycznym, ale również czytelnicstwo prasy i książki, bywanie w kinie, teatrze, na koncertach, słuchanie odczytów i uprawianie sportu.

Na podstawie przeprowadzonych obserwacji stwierdzono znaczny spadek aktywnego udziału w pracach zespołów amatorskich. Dotyczy to zwłaszcza zespołów teatralnych, w nieco mniejszym stopniu — zespołów chóralnych i muzycznych. Głównym powodem takiej sytuacji jest przede wszystkim spadek zainteresowania społecznego działalnością tych zespołów. Tam, gdzie możliwość dotarcia zawodowego teatru była minimalna, rozdziała się gwałtowna potrzeba zastąpienia tej rozrywki przez działalność własnego zespołu. Pojawienie się telewizji w dużym stopniu zaspokoiło ten głód „kulturalny”. „Konkurencja” telewizji odbiła się deprymująco na samych członkach zespołów. Porównanie żmudnych, wymagających wielu wyrzeczeń przygotowań do przedstawienia w amatorskim teatrze z możliwością odbierania niemal co parę dni nowych „gotowych” już spektakli telewizyjnych, wiąże się z niechęcią do udziału w pracy zespołu. Zwłaszcza, że występuje tu również moment zachwiania wiary we

własne możliwości: „Nigdy nie wystawimy przedstawienia tak jak w telewizji, więc po co się męczyć?” — Jest to dość charakterystyczna odpowiedź, bardzo często przewijająca się w deklaracjach badanych. Dodajmy jeszcze i to, że czas przeznaczony na oglądanie telewizji przez młodzież nie pozwala na zajmowanie się dodatkowymi zajęciami. Usiłowania niektórych kierowników zespołów, starających się przywrócić dawne zainteresowania młodzieży poprzez oddalenie jej od telewizora — kończą się generalnym niepowodzeniem.

Nie można również nie zauważyć faktu, że teatr telewizyjny stwarza możliwości potrzebnej wśród aktorów i reżyserów-amatorów samokontroli, że pobudza ich do stałego porównywania i chęci podnoszenia swoich umiejętności, że jest czynnikiem inspirującym. Zdaniem prowadzących badania: teatr telewizyjny jest jednak i w swojej tematyce i w możliwościach artystycznych oraz technicznych zbyt odległy

od zespołu amatorskiego na wsi, aby mógł być wzorem do naśladowania.

Wpływ telewizji odbił się również hamująco na stopień frekwencji w kinach. Mimo, że 64,1 proc. młodzieży stwierdza, że do kina chodzi równie często jak przed zainstalowaniem telewizji — obserwacje operatorów kin obywatelskich wskazują na zupełnie wyraźny spadek frekwencji, zwłaszcza we wsiach. Wybór filmu w telewizji, czy filmu w kinie przeważa się zdecydowanie na korzyść tego pierwszego.

Zanotowano także zmniejszenie czytelnicstwa książek wśród badanej młodzieży. Około jednej czwartej respondentów stwierdza, że przed zainstalowaniem telewizji czytało więcej. Spadek czytelnicstwa notuje się głównie we wsiach zacofanych, gdzie głównie do pojawienia się telewizji książka stanowiła jedną z nielicznych możliwości zaspokojenia potrzeb kulturalnych. Jest rzeczą znamienne, że wpływ telewizji odbił się dodatnio na czytelnicztwie prasy. Wydawać by się mogło, że te same czynniki (brak czasu, pokusa korzystania z „przeżutej” formy podawania wiadomości, wreszcie atrakcyjność programu TV) spowodują zahamowanie czytelnicstwa w tym zakresie. Badania wykazały jednak, że informacje o wydarzeniach w kraju i na świecie podawane przez telewizję rozbudziły w dużym stopniu zainteresowanie młodzieży tymi zagadnieniami (fakt, notowany zwłaszcza w grupie młodzieży, tzw. nieaktywnej), jednak ze względu na swoją szczupłość — nie są w stanie zaspokoić ciekawych w dostatecznej mierze. Stąd rodzi się potrzeba sięgania do czasopism, kierowana chęcią poszerzenia nabytych wiadomości, lub przynajmniej ich potwierdzenia.

Fakt zainstalowania telewizji na wsi spowodował przyspieszony proces integracji ludności. Pojawienie się telewizora ożywiło działalność świetlicy, przychyliło się do nawijania i utrwalania stosunków towarzyskich i społecznych. Zdarza się, że na oglądanie programu telewizyjnego przychodzą do świetlicy ludzie odświętnie ubrani. Również pijaństwo, tak popularne na wsi — ustępuje stopniowo na skutek zainteresowania telewizją.

Pod wpływem telewizji kształtuje się opinia publiczna, nie akceptująca pijaństwa, czy chuligańskiej postawy. Odbiorcy programu telewizyjnego, stanowiący przez większość część środowiska wiejskiego, w pewnym stopniu narzucają sposób bycia pozostałym mieszkańcom. Przejawia się to poprzez eliminowanie ze swego grona pijanych i awanturniczych się, którzy po prostu przeszkadzają w spokojnym odbiorze programu. Poza tym nie bez wpływu na upodobania i sposób bycia przebiega sama recepcja telewizji. Notuje się więc tendencję do naśladowania ubiorów, sposobu wyrażania się, stylu życia osób oglądanych w telewizji. Dzięki telewizji znacznie wzrasta chęć rozszerzenia posiadanych wiadomości, budzą się nowe, nie notowane dotychczas zainteresowania i upodobania. Telewizja kładzie więc ogromne zasługi w procesie likwidacji różnic istniejących między miastem, a wsią.

Podsumowując wszystkie przytoczone wyżej fakty, trudno nie docenić ogromnej roli telewizji w kształtowaniu oblicza kulturalnego dzisiejszej wsi. Nie sposób też nie zastanowić się po jakie środki oddziaływania należy sięgnąć, aby dotychczasowych osiągnięć nie utracić, ale przeciwnie, świadomie je podwoić. Ale to już rzecz samych realizatorów programu telewizyjnego. Przede wszystkim,



W ostatnich dniach świat artystyczny, i kulturalny ponosił niepowetowaną stratę: zmarł Jean Cocteau, — poeta, pisarz, dramaturg, malarz, twórca filmowy. Jeden z najbardziej i najszlachetniej utalentowanych ludzi naszego wieku. Na kilka dni przed jego śmiercią Telewizja Francuska wystawiła jego sztukę: „Maszynę piekielną”, która została osnuta na tle legendy o Edypie.

Pracownicy telewizji NRD nie ograniczają się do krajowej publicystyki. Niedawno wyruszyła ekipa telewizji NRD, której metą przeznaczenia jest daleka Indonezja. Wspólnie z przedstawicielami telewizji indonezyjskiej, zostanie opracowany cykl reportaży telewizyjnych z podróży po tym wielce pasjonującym kraju, wyprawa musi pokonać trasę o długości prawie 20 tys. kilometrów. Nam wypada tylko westchnąć z utęsknieniem: kiedy to nasza telewizja wejdzie w tak interesujące „kooperacje”?

Wszystkim naszym telemanom i zwolennikom talentu Zbigniewa Cybulskiego, który tak pięknie grał mordercę w przedostatniej „Kobrze” dziękujemy to oryginalne jego zdanie z filmu francuskiego „Lalka”, w którym Cybulski grał między innymi rolę Dyktatora.

MUSZTARDA PO OBIEDZIE

Pisząc w swoim poprzednim felietonie o kapryśnym charakterze naszej telewizji, nie zamierzałem wcale poprzestać na odwołaniu „cesarzewi, co cesarskie” — nie chciałem się więc tylko ograniczyć do niskich ukłonów w stronę telewizyjnego kursu na współczesność — bo jest kilka stron w telewizyjnej polityce programowej, w których niejedna zasługuje na mało pochlebne miano „ciemnej”.

Jednym z podstawowych zadań telewizji — powtórzę tu dobrze znany truizm — jest przekazywanie odbiorcom szerokiej informacji z naszego życia bieżącego. Ta funkcja powoduje, że telewizję można by nazwać żywym dziennikiem. Cóż jednak byłby wart taki dziennik, który by na przykład, na pierwszej stronie zaczął zamieszczać ogłoszenia drobne, na drugiej reklamę, a dopiero na szarym, najmniej atrakcyjnym miejscu — wiadomości bieżące? Albo, który by zapomnieli w ogóle umieścić te wiadomości, lub podawał je z tygodniowym opóźnieniem? Odpowiedź jest oczywista; tym bardziej mi przykro, bo telewizja staje się od czasu do czasu — nie tak znowu rzadko, aby wliczyć jej to w poczet przypadkowych potknięć — takim, ładnie nazywając „zapominalskim” dziennikiem, w rezultacie zaś widzowie otrzymują informację, która spełnia rolę przysłówowej „musztardy po obiedzie”.

Nie chcę być gołosłownym, oprę się na konkretnych faktach, tych z ostatniego miesiąca. Obchodziliśmy teraz w naszym kraju niezwykle ważną rocznicę — 46 lat Wielkiej Rewolucji Październikowej. Wydawałoby się, że mogło być tak, ale telewizja — ta olbrzymia machina propagandowa — pierwsza włączyła się do ogólnych uroczystych obchodów, przygotowując pasjonującą audycję, wykorzystując rocznicę Rewolucji dla przeprowadzenia szerokiej akcji propagandowej i wychowawczej równocześnie. Tymczasem telewizja skwitowała 46 rocznicę Rewolucji Październikowej kilkoma frazesami, dając właściwie tylko jedną, okazjonalną audycję (dla dzieci): „W stolicy Związku Radzieckiego”.

Powtórzę więc za Leszkiem Gołńskim: „Każdy walor wychowawczy i propagandowy spali na panew-

ce, jeśli wspomniana rocznicowa będą banalne, sztamowe, jeśli z pasjonującego tematu uczyni się coś tużinowego, jeśli z krwią serdecznej pozostanie tylko szelest papieru, garść publicystycznych frazesów. Jakże więc uatrakcyjnić taki program? Sprawa trudna. Ale właśnie sprawa, która wymaga szczerze gołej inwencji i prawdziwego zaangażowania”. Telewizja nie była łaskawa wykonać szczególnej inwencji i tego prawdziwego zaangażowania. Wielką rocznicę zbyła być czym, odfajkowała ją, jak gdyby wypierając się swojej zapalnej funkcji, jak gdyby zapominając, że jest aparatem propagandowym i wychowawczym, o niezwykłej sile sugestii i oddziaływania, że jest tym potężnym prelegentem i publicystą, którego słuchają miliony ludzi.

W tym samym czasie, kiedy trwał Miesiąc Przyjaźni Polsko-Radzieckiej nasza telewizja daje na antenie program z cyklu „Most”, poświęcony Niemieckiej Republice Demokratycznej; zapowiadając łaskawie, że za dwa tygodnie swój następny program poświęci Związkowi Radzieckiemu. Pewno, że

potrzebne nam są audycje o NRD, o polsko-niemieckiej przyjaźni, niemiłej, gdzie tu logika planowania, gdzie podziela się owa polityka programowa, której nie wolno niczego pomijać, która powinna uwzględniać aktualne wydarzenia, a nie poprzestać na zaspokajaniu „potrzeb widzów”, „musztarda po obiedzie”. Z okazji miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej oglądaliśmy w telewizji jeden tylko program rozrywkowy, „Nowe piosenki radzieckie”. (Scenariusz A. Bardniego). Należy się jednak dziwić, dlaczego niektóre piosenki radzieckie, melodyjne, nasycone treścią, zostały potraktowane satyrycznie? Piosenka „Geolog” w wykonaniu B. Kraftówny miała już w swoim telewizyjnym podaniu lepszą wykonawczynię: ekspresyjną Lidę Korsakówną. Przynajmniej ja nie mogłem zupełnie pojąć, dlaczego reżyser programu ubrał Kraftówną do tej nastrojowej i pięknej piosenki w strój białeński, parodystyczny, zaś interpretacja Kraftówny zamiast wzruszenia, tak nam potrzebnego, wywoływała w telewizjach śmiech — nie najlepszej jakości.

KOWALSKI

CUDA Z TELEWIZOREM

Było już w naszej prasie o telewizorach wybuchających, było o samozapalających się, teraz rzecz będzie o telewizorach znikających. Aby sprawę nieco wyjaśnić, zaczniemy od początku. Otóż wyobraźmy sobie, że w salonie ZURIT nr 116 kupiliśmy telewizor. Miła i grzeczna obsługa wybrała żądany kolor, objaśniła zasady i uszczęśliwili zawieźliśmy go do domu. Wkrótce jednak telewizor popsuł się, ot, zwyciężna rzecz. Zawieźliśmy go do nas do domu. Po tygodniu coś strzeliło, pstryknęło i telewizorek apiać przestał działać. W punkcie naprawy pocieszono nas tym razem „jak się wam trzeci raz w miesiącu zepsuje macie prawo wymienić na nowy. Klient nasz pan!” Jako rzekli tak się stało. Telewizor wysiadł, zgłosiliśmy reklamację w salonie ZURITu. Przyjechali, zabrali. Kierownik salonu rzecz opisał, ostemplował i wyjaśnił, że teraz tylko decyzja dyrekcji i za 14 dni powinniśmy otrzymać nowy. Zaczekaliśmy tydzień, dwa, miał miesiąc... Poszliśmy do dyrekcji, odesłano nas do salonu. Tutaj komisja remanetowa odmówiła wydania telewizora, nie otrzymała bowiem

żadnych poleceń z dyrekcji. Koleżko się zamknął — dyrekcja rozkłada ręce, kierownik salonu jest bezradny, remanet trwa, a jak mówią wyemieniceni! — wszystko to pociąganie się co najmniej do stycznia. I tutaj jest właśnie źródło owego cuda. Telewizorok kupiliśmy, zarejestrowaliśmy, płacimy miesięczną opłatę, a programu nie oglądamy. Za co więc właściciel płacimy? Chociebymy więc zapytać czy w epoce remanetów nie znalazł się w dyrekcji ZURIT nikt rozsądny, kto by tę sprawę załatwił, przecież skoro wiadomo, że dany sklep ma być zamknięty, to najprostszą rzeczą byłoby przekazać wszelkie reklamacyjne sprawy (a przypadek wyżej opisany nie jest odosobniony) najbliższemu salonowi ZURIT. Nie narzązałoby się wtedy klientka na niepotrzebną stratę czasu i pieniędzy. Klient nasz pan — głoszą wywiezki. Coś z realizacją tego hasła nie jest jednak w ZURIT najlepiej.

odlatosy str. 11

TADEUSZ WIACEK

„WISIELEC” BRUSZEWSKIEJ

Ostatnia „Kobra” znowu należała do „angielskich”. Nie piszę jednak tego w formie zarzutu pod adresem Teatru Sensacji. Zawsze uważałem, że dobrego „kryminału” nie warunkują zagraniczne czy polskie realia. Dobry utwór sensacyjny musi jednakże gwarantować stojącą na dobrym poziomie rozrywkę. Wydawać by się mogło, że wymagania stawiane „kryminałom” nie są zbyt wygórowane, ale praktyka wykazuje, że dobrych utworów sensacyjnych jest, niestety, niewiele. Realizatorzy ostatniej premiery „Kobry” sięgnęli po „Wisielca” (tytuł z gatunku „Siedmiu trupów w jednej wannie”) M. Carpentera. Co do samego wyboru nie można mieć specjalnych pretensji. „Wisielec”, to zupełnie poprawny, ciekawy, utrzymany w dobrym tempie „kryminał”. Czy w związku z tym, jego telewizyjna premiera można nazwać udaną? Odpowiedzialnym zdecydowanie — tak, gdyby nie adaptacja telewizyjna tego utworu Carpentera. Niestety, K. Bruszezowska, która podjęła się przystosowania „Wisielca” do wymogów telewizji, nie stanęła na wysokości zadania. Bogata, a przez to dość zagmatwana treść utworu, jeszcze bardziej zagmatwała adaptacja. Cały spektakl „Wisielca” trwał 50 minut i w tym czasie Bruszezowska zmieściła akcję „kryminału”. Dlatego każda z postaci występujących w ostatniej „Kobrze” (było ich osiem), posuwała akcję naprzód w zawrotnym tempie,

kosztem coraz większego jej zagmatwania. W końcu nie bardzo było wiadomo, dlaczego Wollejko (Colin) popełnił morderstwo. Takie niejasności (a było ich w ostatniej „Kobrze” więcej) są niewybaczalne w widowiskach tego typu. Przecież od dobrego „kryminału” wymagamy precyzyjnej logiki i wiarygodnej motywacji czynów. Tego właśnie zabrakło telewizyjnemu „Wisielcowi”. I wina w tym nie tyle autora, co przede wszystkim adaptatora. Szkoda, że zła adaptacja położyła starannie przygotowany pod innymi względami spektakl. O reżyserii przedstawienia można powiedzieć, że narzeczcie Słotwiński przypomniał swoje dobre dni. Nie była to mimo wszystko rewelacja i daleko mu jeszcze do poziomu sprzed kilku lat. Niemniej w porównaniu z ostatnio reżyserowanymi przez niego spektaklami, „Wisielec” prezentował się korzystnie. Słotwiński ma doskonale opanowane rzemiosło, ale szkoda, że wpadł w rutynę i nie stara się o ambitniejsze opracowanie przedstawień. A można tego od niego wymagać. Główną rolę w „Wisielcu” grała dobrze znana w Łodzi Barbara Horawianka. Z pozostałych aktorów na wyróżnienie zasługuje Czesław Wollejko i Leon Pietraszkiewicz. Reasumując — oglądaliśmy przeciętny (ale niezły) spektakl „Kobry” z dobrą grą aktorów, poprawną reżyserią i fatalną adaptacją.

Odgłosy TYGODNIA

AKADEMIOWE KWIATKI

Wiemy dobrze, że wszelkie akademie i uroczystości z okazji świąt narodowych i pamiętnych rocznic, to „złote runo” dla aktorów. I dobrze. Aktor rozwesela, wzrusza, recytuje patetyczne wiersze, opowiada dowcipne monolog — jednym słowem jest nieodzowną częścią każdej akademii. Z uznaniem wyrażają się o jego twórczości pracownicy zakładów, w których uświetnili akademii swoją osobą. Niedobrze jest jednak, gdy aktor zawiedzie oczekujących go pracowników zakładów. W ogóle nie przyjdzie. A takie „kwiatki” zdarzały się w obecnych akademiach z okazji 46 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Dzień ma tylko 12 godzin i jeden aktor nie jest w stanie „obsłużyć” wszystkie akademie. Pamiętajmy

przecież o obowiązującym obustronnym społecznym zaufaniu.

A zakłady pracy bardzo starannie przygotowały się do październikowych akademii. Przykładem, niech będzie chociaż Zakład im. Gen. Włocławca, ul. Praska 3/5, gdzie pracownicy przyspieszyli budowę nowej, pięknej świetlicy, oddając ją do użytku w dniu akademii październikowej. Po raz pierwszy pracownicy wszystkich trzech oddziałów zakładu spotkali się na wspólnej akademii.

W związku z akademiami nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Utało się już, że występujący na akademii zawodowy aktor dostaje kwiaty. Znakomicie. Ale dlaczego nie obdarza się kwiatami zespoły amatorskie?

POZYTYWNA „STAROMIEJSKA”

Nie udawały się jakoś do tej pory „patronaty” ZMS nad młodzieżowymi kawiarniami. Tak zwany „Palacyk” został ostatecznie rozwiązany, zlikwidowano go na skutek systematycznego powtarzania się wielu niemilych incydentów. W drugiej kawiarni młodzieżowej, nad którą patronat programowy i wychowawczy ma ZMS — w „Staromiejskiej”, do niedawna działało się wcale nie lepiej. Bójkę i rozróby, pijana młodzież na tzw. (z europejską) „dancingach”, nierządno milicja wzywana do podpijanych gości. Po owych sławetnych „dancingach” wynoszone z ubikacji „Staromiejskiej” dziesiątki butelek — „rozpijanych” własnym przemysłem w ustronnych — lecz nie zawsze najbardziej higienicznych miejscach.

Teraz jednak można już powiedzieć, że to wszystko należy do niechlubnej przeszłości. Puścić ją w niepamięć — to jeszcze może trochę przedwcześnie, ale warto na pewno rzec słów kilka o nowej, przeobrażonej kawiarni „Staromiejskiej”. Zmieniło się w niej kierownictwo; nowy kierownik kawiarni pilnuje, aby młodzież do lat osiemnastu nie przebywała na sali po godzinie dwudziestej, co parę dni najbardziej „po-

dejrzeni” zostają poddani operacji legitymowania się — i jeżeli wyciągają szkolną legitymację — kierownik „Staromiejskiej” nie zna litości w sercu. Ten dobry zwyczaj tak się już przyjął, że nieletnia młodzież nie czeka nawet „sprawdzianów”, przed godziną dwudziestą sama grzeecznie opuszcza „Staromiejską”.

Nie zdarzają się tu w „Staromiejskiej” fiaszki po winie i po wódce w miejscach ustronnych. „Jeżeli pijesz, to nie masz prawa do nas przychodzić” — mówi kierownik. I kara leci: miesiąc bez prawa wstępu do „Staromiejskiej”.

Dość by można było powiedzieć o metodach wychowawczych, stosowanych przez kierownictwo „Staromiejskiej”. Wszystkie one zdały swój praktyczny egzamin, i są już skutki: młodzież ładnie się bawi, przyzwyczajenie zachowuje. Nie ma teraz powodu, aby narzekać na chuligaństwo w „Staromiejskiej”.

Z kolei ZMS zatroszczyło się o naprawdę porządną działalność programową. Nauka piosenek, koncerty muzyki „dla wszystkich”, cotygodniowe spotkania z aktorami łódzkimi, odczyty. Pogratulować i życzyć dalszego powodzenia.

WYCHOWANIE PRZEZ PRACĘ

Współzawodnictwo warsztatowe, forma kolektywnego wychowania, która wyrabia w uczniach poszanowanie dla pracy, dla mienia społecznego — zostało wprowadzone niedawno, jego żywot sięga zaledwie lat dwóch, zastosowano je w szkołach zawodowych na terenie województwa łódzkiego w roku 1961 — z inicjatywy Wydziału Młodzieży Szkolnej Komitetu Wojewódzkiego ZMS, przy całkowitej aprobacie Kuratorium.

Początkowo współzawodnictwem warsztatowym zostało objętych dziesięć szkół zawodowych, w których powstało trzydziestu brygad uczniowskich, skupiających prawie dwa tysiące uczniów. W tej chwili na 29 szkół zawodowych województwa łódzkiego, które posiadają warsztaty szkolne, współzawodnictwo uczniowskie „zagarnęło” 25 szkół, brygad jest już 385, zaś współzawodniczących uczniów ponad 6,5 tysiąca. W ten sposób współzawodnictwem warsztatowym stało się ruchem masowym, zaś jego efekty produkcyjne, i niewymienne już w cyfrach — ale równie ważne efekty wychowawcze, pozwoliły włączyć szkolne brygady do ogólnowojskiej Sztafety „Młodzież-Pięciolatka”. Należy tu zaznaczyć, że inicjatywa współzawodnictwa warsztatowego wyszła po raz pierwszy właśnie z naszego województwa i jest propagowana obecnie w całym kraju.

Czego uczy współzawodnictwo? — Przekraczania norm produkcyjnych, dobrej organizacji pracy, przestrzegania czystości stanowisk i urządzeń warsztatowych, poszanowania mienia społecznego, oszczędności surowca, przestrzegania przepisów BHP, utrzymywania dyscypliny pracy, działalności społecznej na rzecz środowiska, kolektywnego współzycia a wreszcie — socjalistycznego stosunku do pracy. Nauczyciele zawodu w szkołach zawodowych zgodnie twierdzą, że współzawodnictwo warsztatowe pozwala na o wiele lepsze i wyższe wykonywanie planów produkcyjnych warsztatów — prawie we wszystkich szkołach objętych współzawodnictwem plany zostały daleko przekroczone.



SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

W rolach komediowych — wymagających temperamentu i scenicznej odwagi — czuje się doskonale — nie więc dziwnego, że był filarem kabaretku „Wspak”, że wysoko cenili go słuchacze radiowego „Wesołego autobusu” a na deskach Teatru, 7.15 grał między innymi Julka w „Pasieczniku jakiegoś małego”, Franka w „Romansie z wodewillu”, a obecnie możemy go oglądać w nietawnej roli Joasa w sztuce Jurandota „Dziwiwiaty sprawiedliwy”.

Ryszard Dembiński zaledwie dwa lata temu przejął się do Łodzi a już zdążył zdobyć naszą sympatię, dał się poznać w licznych, a co ważne nader różnorodnych rolach. A przecież jego droga artystyczna zaczęła się nie tak dawno.

Tekst i zdjęcie:
GERARD PUCIATO



RYSZARD DEMBIŃSKI

SPRAWY AEROKLUBU

Lotnictwo to piękny sport. Piękny, lecz trudny. Przeciętnie z 400 zgłoszonych kandydatów do pełnego wyszkolenia do chodzą zazwyczaj nie więcej niż pół setki. Grają tu bowiem rolę nie tylko sprawy zdrowia, ale i odpowiedniego wykształcenia; a z tym ostatnim zwłaszcza wśród młodzieży robotniczej nie jest najlepiej. Inaczej wygląda ta sprawa np. w Związku Radzieckim, gdzie młody robotnik legitymuje się zawsze odpowiednim wykształceniem. Radziecy kosmonauci Tierieszkowa i Bykowski to właśnie wychowankowie Aeroklubów.

U nas stosunek do młodych uprawiających piękny, podniebny sport nie zawsze jest odpowiedni. Oł, w tym roku Łódzki Aeroklub nie mógł wystąpić na mistrzostwa pełnej ekipy, bo dyrektor pewnego zakładu nie zgodził się na zwolnienie z pracy zawodnika. Niemniej jednak sukcesy lotdzian w sporcie lotniczym są niemałe. W bieżącym roku lotnicy sportowi przelecieli ponad 10.000 km, w czym aż 8.000 po trudnych trasach zamkniętych. 25 młodych pilotów zdobyło uprawienia lotnicze, 3 uzyskało wyższe klasy pilotażu, 2 złote odznaki szybocowe, a 2 zdobyło tzw. diamenty do złotych odznak.

Oblicze sportowego lotnika na Lublinku w niedługim czasie zostanie poważnie zmienione. W przyszłym roku zakończona zostanie budowa nowego zaplecza, w którym znajdzie się część warsztatowa, administracyjna i szkoleniowa. Za dwa lata natomiast Łódzki Aeroklub otrzyma nowy sprzęt latający.

Najpoważniejszym bodaj problemem, z jakim borykają się działacze Aeroklubu jest sprawa szkolenia nowych kadr. Niedostatecznie zainteresowanie się tymi sprawami przez Kuratorium i Związek Harcerstwa Polskiego kłopoty to zwiększa. A przecież choćby tzw. mały pilotaż, czyli modelarstwo, to idealne uzupełnienie politechnicznej nauki. Niestety, nauczyciele-instruktorzy modelarstwa wykształceni przez Aeroklub nie zawsze otrzymują w szkołach odpowiednią warunków pracy.

Mamy nadzieję, że z nowym rokiem szkoleniowym to sprawy ulegną poprawie, że zainteresowanie lotnictwem rozszerzy się na większe kręgi społeczeństwa, że piękny, podniebny sport stanie się u nas tak popularną dyscypliną, jak w Związku Radzieckim. Możliwość, aby tak było, istnieje — trzeba ją tylko odpowiednio wykorzystać.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPKI „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”.
Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17,
Zam. 3567. XI. 63. K-4

SOBIEPAN?

Mieszkańcy wsi Pszczonów w powiecie skierniewickim wiele przyjemności, wiele rozrywek doświadczali w swojej „Klaso-świetlicy”. Pszczonów należał do tych miejscowości, które na kulturalnej mapie naszego województwa oznaczało się białymi plamami. Brakowało więc ludziom po ciężkiej pracy miejsca, w którym by się zebrać mogli i czas kulturalnie spędzić. Nie też dziwnym, że mieszkańcy Pszczonowa wielką wdzięczność mieli dla władz za to, że im postanowiła „dać” kulturę, w ramach akcji kulturalnej „Szkoła” zakładając „Klaso-świetlicę”. Wczoraj, już po odbytych lekcjach przychodzili do „Klaso-świetlicy” młodzi i starzy, — radia posłuchać, telewizję obejrzeć — bo do tej klaso-świetlicy władze zakupiły piękny telewizor.

Trudno wypowiedzieć, z jakim nabożeństwem i szacunkiem ten telewizor w Pszczonowie traktowano. Kierownikiem klaso-świetlicy był miejscowy kierownik szkoły, on opiekował

się telewizorem, on organizował życie świetlicowe. Obecnie jednak klaso-świetlica w Pszczonowie przestała istnieć. Po prostu... kiero-świetlicy”. Pszczonów należał do tych miejscowości, które na kulturalnej mapie naszego województwa oznaczało się białymi plamami. Brakowało więc ludziom po ciężkiej pracy miejsca, w którym by się zebrać mogli i czas kulturalnie spędzić. Nie też dziwnym, że mieszkańcy Pszczonowa wielką wdzięczność mieli dla władz za to, że im postanowiła „dać” kulturę, w ramach akcji kulturalnej „Szkoła” zakładając „Klaso-świetlicę”. Wczoraj, już po odbytych lekcjach przychodzili do „Klaso-świetlicy” młodzi i starzy, — radia posłuchać, telewizję obejrzeć — bo do tej klaso-świetlicy władze zakupiły piękny telewizor.

Trudno wypowiedzieć, z jakim nabożeństwem i szacunkiem ten telewizor w Pszczonowie traktowano. Kierownikiem klaso-świetlicy był miejscowy kierownik szkoły, on opiekował się telewizorem, on organizował życie świetlicowe. Obecnie jednak klaso-świetlica w Pszczonowie przestała istnieć. Po prostu... kiero-świetlicy”. Pszczonów należał do tych miejscowości, które na kulturalnej mapie naszego województwa oznaczało się białymi plamami. Brakowało więc ludziom po ciężkiej pracy miejsca, w którym by się zebrać mogli i czas kulturalnie spędzić. Nie też dziwnym, że mieszkańcy Pszczonowa wielką wdzięczność mieli dla władz za to, że im postanowiła „dać” kulturę, w ramach akcji kulturalnej „Szkoła” zakładając „Klaso-świetlicę”. Wczoraj, już po odbytych lekcjach przychodzili do „Klaso-świetlicy” młodzi i starzy, — radia posłuchać, telewizję obejrzeć — bo do tej klaso-świetlicy władze zakupiły piękny telewizor.

LISTY czytelników

Ponieważ w „Odgłosach” ubiegłego tygodnia w artykule pt.: „Nie tylko mądre, ale zdrowe i silne” została umieszczona niewłaściwa liczba procentowa (25%) zwolnień z gimnastyki w III L. O., z ironicznym komentarzem red. Zbigniewa Skibickiego w stosunku do mnie — lekarza tegoż L. O.; uprzejmie proszę o sprostowanie w numerze następnym „Odgłosów” nie sprawdzoną z tej powyższej wiadomości, jednocześnie powiadamiam uprzejmie, że tylko 6% wydatem zwolnień z gimnastyki. Bardzo mi przykro, że w zamian za uczciwe podejście do własnej tycie zwolnień zostałem publicznie obrażony.

Łęczarz III L. O. 1
Szkoły Podstawowej nr 173
Bogusław Wojciechowski
Łódź, dnia 15 listopada 1963.
(Od redakcji: wyjaśnienie red. Z. Skibickiego dot. źródeł, z których czerpał dane do swojego artykułu, zamieścić my na str. 7).

METAMORFOZA „MAŁEJ CZARNEJ”

Wszystko zaczęło się od pocziwej, już w gruncie rzeczy staromodnej, „małej czarnej”. Wzbudziła ona popłoch i zamieszanie, szerokie dyskusje, zastanawiania i... sprzeciw. „Co tym młodym po głowie chodzi, jakieś nowomodne rzeczy wymyślają, jakieś kluby, kawiarnie, dawniej człowiek o takich rzeczach nie słyszał” — takie oto komentarze, biadolenia i narzekania, a często nawet wcale nie najprzyjemniejsze epitet wywoływała na początku swojej działalności „mała czarna”; wprowadzona niemal „na siłę” do 19 wiejskich miejscowości przez Związek Młodzieży Wiejskiej.

Inspiratorem „małej czarnej” jest ZMW. Województwo łódzkie w tej chwili posiada już 19 klubo-kawiarni. W 17 klubo-kawiarniach są telewizory — we wszystkich radia, adaptory, różnorodne gry świetlicowe, prasa, tygodniki kulturalne. Bo klubo-kawiarnie to nie tylko „mała czarna”, w klubo-kawiarniach odbywają się spotkania, odczyty, wykłady; klubo-kawiar-

nie spełniają też rolę czytelnia, ba! nawet i teatru, albo kina. Przy klubo-kawiarniach wiejskich działają bowiem amatorskie zespoły teatralne, chóralki, kukielkowe, muzyczne; wyświetla się w nich filmy, organizuje dyskusje nad książkami.

Większość klubo-kawiarni powstała w roku bieżącym przede wszystkim dzięki czynom społecznym młodzieży z kół ZMW. Kola ZMW wyremontowały lokale na klubo-kawiarnie, np. w Niesulku — wartość remontu wykonanego przez młodzież oszacowano na 20 tysięcy złotych. Kola ZMW w Klomnicy wybudowały — wspólnie z mieszkańcami wsi — czynnym społecznym Dom Ludowy, w którym znalazła swój „kąt” młodzieżowa klubo-kawiarnia.

„Mała czarna” jest więc na wsi jedynie pretekstem do prowadzenia szerokiej działalności kulturalnej. No i kto by to przypuszczał, że „mała czarna” tak wysoko awansuje — do rangi „kulturalnego działacza”?



do druku podał
St. Czerwinski

WSPOMNIENIA O NAUCZYCIELACH

Na ogół mieliśmy dobrych pedagogów i młodzież potrafiła to dostrzec. Byliśmy już ostatni rok w szkole. Ośmioklasiści, stare szkolne wygi, patrzące na świat i ludzi już krytycznie, czasem zbyt nawet krytycznie. Z powodu przesunięcia nauczy-

cieli dostaliśmy polonistę — trzeba szczerze powiedzieć — mocno zdziwiałego. W poprzednich latach mieliśmy znakomitych 2 polonistów prof. Kamińskiego i Sęczkowski. Ostatni profesor w naszym języku szkolnym nazywany był „Morycem”. Wykład literatury polskiej polegał na dyktowaniu personaliów autorów, tytułów ich utworów oraz krótkiej wzmiance o tematyce danego utworu. My pilnie to wszystko notowaliśmy, gdyż na następnej lekcji odbywała się kontrola przyswojenia wiadomości. Dialog między profesorem „Morycem” a wywołanym uczniem wyglądał mniej więcej w ten sposób:

Profesor: Kobyliński.
Uczeń?:
Profesor: — Gruszecki.
Uczeń?:
Profesor: — Co pisze?
Uczeń: Cygarniczka.
Profesor: — Co to jest „cygarniczka”?

Uczeń: — Cygarniczka nazywa autor dziewczynę — pracownicę fabryki cygar i papierosów.
Profesor: Dobrze, co jeszcze pisze?
Uczeń dalej wylczył (lub nie) dane — z ankiety personalnej autora.

(Kronika i Liceum im. M. Kowernka) w Łodzi, 1906 — 1956.